

MAURYCY HARTMAN.

Djamenty Baronowej

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH.

TOM II.

GRÓDEK.
NAKŁADEM I DRUKIEM J. CZAIŃSKIEGO
1899.



I.

Afront.

Prywatne towarzystwo z swymi ukrytemi namiętnościami, celami i dziejami bywa często prawdziwą zagadką, tak, iż trudno przepowiedzieć, jaka będzie jego przyszłość, trudno przewidzieć burzy, która wisi nad jego głową, choć się jej nie każą spodziewać nawet najmniejsze oznaki. Tak samo było i na balu w domu barona Fryzena. Wprawdzie wiadomość o kradzieży djamentów z wszelkiemi domysłami, widoczne względy, jakiemi książę coraz więcej otaczał piękną Francuzkę, ożywiły gości na balu, sprawiając im pewną przyjemność, atoli nikt się nie domyślał, że wkrótce osobliwszy wypadek miał zamącić ich wesołą, lecz spokojną zabawę. Nikt z towarzystwa nie przeczuwał, co się wśród hucznej balowej wrzawy działo w duszy pewnych osobistości. Taką osobistością był najpierw dumny baron, a zarazem bankier Fryzen, który dobrze wiedział, że tańcząc na balu, tańczył na niebezpiecznym wulkanie, pełen namiętności jak zawsze, i spokojny, uśmiechnięty, pewny siebie jak zawsze, zaślepiony w pięknej nędznicy i dlatego żywiący w duszy całe piekło zazdrości i to względem człowieka, któremu żadną miarą nie mógł sprostać i od którego wyłącznie spo-

dziewał się ocalenia. Taką osobistością była następnie sama piękna nędznica, która tańcząc i śmiejąc się na różne strony, równocześnie zarzucała sieć w celu zapewnienia sobie na wszelki wypadek dobrego połowu. Obok niej godną była uwagi biedna, dobra kobieta i żona, która się znajdowała w pierwszej chwili odurzającego przebudzenia, tem boleśniejszego, ponieważ sprowadzało rozczarowanie w życiu, rozwiewając sen piękny! Żywiła ona śmierć w swem sercu, i jak dotychczas była lunatyczką w życiu, tak samo była nią i teraz pośród balu. Obok niej niepostrzeżony, w niezauważonej a wielkiej przyjaźni wszystkie jej boleści przeczuwający i nad jej krokami i losem czuwający kroczył niepodejrzany jej towarzysz, z siwą brodą, hrabia Aureliusz Kamiński. Całkiem zaś na uboczu, niewidziany, nieznany, w ostatnim rzędzie ostatniej małej orkiestry ponad głowami towarzystwa siedział mały młody człowiek, tuż obok kotłów do bębnienia. Był to znany nam bakałarz.

Było wtedy około trzeciej godziny nad ranem; małem okienkiem ponad orkiestrą poczęło się już przedzierać dzienne światło. Po głowie bakałarza broiło tego dnia widoczne jakieś licho, jego koledzy muzykanci zauważyli oddawna, że był pośród nich tylko przeszkodą. Grał na flecie fałszywie, a niekiedy przerywał prawdziwie szatańskiemi tonami słodką harmonią Lauerowskich walców. Zachowywał się także nieprzyzwoicie, i to tłocząc się w pierwsze szeregi muzykantów i przechylając grzywiastą głowę z rozpłomienionemi oczyma po przez balustradę ponad wytworne to-

warzystwo, to znowu spiesząc na szary koniec i patrząc przez balustradę tygrysim wzrokiem na cichy kątek, oświecony różową latarką. Jego koledzy zawyrokowali oddawna, że nieszczęsny bakałarz zachowywał się jak istny warjat, toż jeden z klarnecistów odebrał mu flet i schował go do kieszeni, a basista zatarasował mu swym instrumentem drogę, aby się już nie mógł dostać do swego szeregu. Tak siedział już od północy w kątku z zakrytą rękami twarzą, jako człowiek, który się czuje być nieszczęśliwym dlatego, iż mu drudzy nie dozwalają poświęcać się swej sztuce. Tylko wtedy, kiedy go z dołu dolatywały szepty, zrywał się jak gdyby go kto był czem ubódł, i przechylał się, nadsłuchując o tyle naprzód, iż go palkierz musiał trzymać za nogę, gdyż inaczej byłby był strącił kocieł do bębnienia na księcia.

Jeszcze około trzeciej godziny zrana panowały w sali balowej spokój i ogólna wesołość. Starsi panowie i panie bawili się dobrze, a z nimi roztropna młodzież, starająca się zapewnić sobie u osób wpływowych protekcją, posady i dochody. Muzyka grała hucznie, ochotniejsi w życiu tańczyli, a niezatrudnieni czyli pozytywni trzymali się bufetu. Czcigodne ciotki i opiekunki młodych panien przymrużały niekiedy oczy, chcąc się nieco zdrzymnąć w celu odświeżenia sił na najbliższą godzinę.

Nagle przebudził je jakby uderzenie piorunu z jasnego nieba straszliwy hałas, tak, iż się pozrywały z krzykiem z siedzeń i szukając panny, powierzone ich opiece, wskoczyły między tańczących, a przez to tylko

ogólny zgiełk i zamęt powiększyły.

Po ucichnięciu chwilowej wrzawy poczęli goście Fryzena w milczeniu i z przerażeniem nadsłuchiwać. To przerażenie wzmogło się jeszcze, gdy się nagle wśród ciszy rozległ po sali nieukrócony, pusty śmiech.

Ze wszech stron wołano: „Książę, książę!“ słychać też było równocześnie głośne wymienianie przeróżnych niewieścich imion: „Emilio, Karolino, Berto, Elżbieto!“ Już się cisnął tłum osób ku drzwiom, podczas gdy pojedynczy goście, posuwając się wzdłuż ścian omackiem, szukali wyjścia, dopóki ich fala ludzi nie porwała z sobą ku drzwiom.

— To nic, to nic; zawołał głośno baron Fryzen, zwykły wypadek, narobiono niepotrzebnie hałasu. Pozostańcie moi państwo, proszę bardzo, pozostańcie. Zaręczam, że nic ważnego nie zaszło.

Atoli w panicznym przestrachu nie zważał nikt na jego słowa, wszyscy pchali się ku drzwiom, a ogólną wrzawę powiększał jeszcze dolatujący krzyk z dołu, gdzie wiele powozów naraz podjechało przed ganek, tak, iż woźnice, usiłujący jeden drugiego wyprzeć ze stanowiska, poczęli hałasić i przeklinać.

Baronowę porwała z sobą fala gości, nagle stanęła na dole przed drzwiami, jak gdyby i ona należała była do osób, mających dom opuścić. Stała tam nieprzytomna, odurzona zajściami w ciągu nocy, tudzież zagadkową katastrofą i zamętem, popychana tam i tam przez uciekających.

Niebawem zaćmiło się jej w oczach tak, iż się zachwiała i upadła, na szczęście podniósł ją natychmiast

z ziemi hrabia Kamiński i zaniósł do pierwszego pokoju na parterze tuż obok sali bilardowej.

Złożył ją ostrożnie na sofę, zbadał, czy jej serce biło, a potem usiadł obok niej i przypatrywał się jej uważnie, ocierając z ócz łzę na widok tej bladej niewiasty i malującego się na jej twarzy cierpienia, przy słabem świetle porannego brzasku.

— Biedna, dobra kobieto! szepnął hrabia, minął dla ciebie bezpowrotnie czas najpiękniejszy. Jakżeż będziesz mogła znieść to co ma nadejść, co zapowiada ten groźny zamęt w twym domu? Ach, twoja młodość stracona na zawsze!

Nie budził jej od razu z omdlenia, mówiąc sobie w duchu:

— Podobnie jak pierwej marzenie, tak teraz nieprzytomność będzie dla niej może korzystną. Nachyliwszy się zaś ku baronowej dodał:

— Teraz, kiedy jest zmuszoną poznać wiele rzeczy, pozna może także i to, jak wiernego przyjaciela posiada i zawsze posiadała. Nie zgrzeszę może, jeśli za tyle miłości względem niej sięgnę po tę małą nagrodę.

Po tych słowach nachylił się hrabia Kamiński jeszcze bardziej ku Fryzenowej i złożył ojcowski pocałunek na jej bladem czole, a następnie poszedł po pokojówkę i świeżą wodę w celu wskrzeszenia baronowej.

Fryzenowa posiadała w istocie dobrych przyjaciół. I Alfred nie miał pokoju od owej chwili, w której ona w takim smutku z pozbieranemi na prędce klejnotami wyszła była z spokoju swych dzieci. Pragnął więc udać się na bal, aby się znajdować blisko niej. Atoli zajście

pomiędzy ich matką a baronem, bliskość hucznej muzyki nie dozwoliły im spać tak, iż Alfred musiał przy nich pozostać, gdyż się lękały. Dopiero kiedy późną nocą usnęły, wybiegł ich guwerner do swego pokoju i przywdział tym razem bardzo skromny ubiór na bal, gdyż mu nie chodziło teraz o podobanie się drugim. Z swego pokoju musiał w celu dostania się na kręcone schody, które wiodły na dół tuż koło małej orkiestry, przechodzić przez znany nam ciemny korytarz na dziedziniec. W tej chwili był ten korytarz oświetlony. Zaledwo odbył połowę drogi tym korytarzem, usłyszał pod sobą ów straszliwy huk i łopot, który tam na dole w sali wywołał był okropny zamęt. Alfred przeląkł się i stanął, po chwilce atoli postąpił naprzód przyspieszonym krokiem. Skręcając około schodów potrącił kogoś, który z niezmiernym pospiechem starał się dostać na korytarz. Z przerażeniem odskoczył Alfred, gdyż teraz poznał bakałarza, swego przeciwnika!

— Co się święci, co się to stało, dokąd pan spieszysz? zawołał Lindau, chwytając z przodu za piersi bakałarza.

— Obywatelu Lindau! odrzekł tenże, puść mnie pan i nie aresztuj jak policjant w usługach księcia, ja uciekam...

— I cóż się stało, co pan takiego uczyniłeś?

— Ot, bagatelka, odrzekł ze śmiechem bakałarz, jam do wielkich czynów niestworzony! Ja cały i wszystko w około mnie stajemy się śmiesznymi. Zrzuciłem wielki kocioł do bębnienia z wysokości orkiestry na głowę księcia.

Alfred nie myślał wcale zatrzymywać zbiega i na korzyść księcia bawić się w policjanta, wskazał więc bakałarzowi drogę, mówiąc:

— Zdążaj pan tym tutaj korytarzem, potem dostaniesz się pan schodami na dół na dziedziniec.

— O, ja znam ten korytarz i dalszą drogę! zawołał bakałarz, uciekając z taką pewnością siebie, jak człowiek, który istotnie zna wszystkie zakątki w domu.

Alfred patrzał za nim chwilkę i pomyślał sobie w duchu:

— On zna ten korytarz? Tutaj oddała baronowa swe djamenty, on to musiał je skraść, albo przynajmniej wie, gdzie się podziały.

Straszliwa wrzawa i łopot na dole w sali balowej pociągały ku sobie Alfreda dalej, zwrócił się też w tę stronę, lecz kiedy się dostał kręconemi schodami na górę, zatrzymała go tutaj znowu Gabrjela. Lindau, uradowany świeżem odkryciem zawołał:

— Panno Gabrjelo, ja wiem kto skradł djamenty.

— Tak? zapytała Gabrjela, cofnąwszy się o krok w tył, śledząc w pomroku schodów bystrem okiem wyraz jego twarzy.

— Tak jest, przynajmniej się domyślam... zaczął mówić Lindau, gdy się nagle po za Gabrjelą ozwała nieco szorstka komenda: „Naprzód, naprzód, panno Chaumont, a cóż to za afront, co za głupstwo!

Dopiero teraz zauważył Alfred, że Gabrjela wąskiemi kręconemi schodami wiodła za rękę księcia. Jego olbrzymia postać zarysowała się groźnie po chwili w oświeconym korytarzu. Jego zwykle bardzo starannie

uczesane włosy spadały teraz w nieładzie na prawą skroń, która wraz z prawym policzkiem była zarumieniona, jego oczy pałały ogromnym gniewem, usta wymawiały nieustannie jakieś niewyraźne wyrazy narzekania. Wchodząc na korytarz odrzucił w tył rozpięty uniform, jak gdyby mu było brakowało powietrza.

— Cicho, szepnęła Gabrjela do Alfreda, pomówimy innym razem.

— Naprzód! zakomenderował teraz znowu książę.

— Zaraz mój książę, odrzekła uspakajająco Gabrjela, za chwilkę dostaniemy się na główne schody.

— Nie, nie pójdę tamtędy, zawołał gniewnie książę, powiedziałem już pani, że nie chcę już widzieć nikogo, żadnego człowieka, nie chcę się z nikim zetknąć!

— Ależ powóz, odrzekła Gabrjela, zajechał zapewne ogrodem.

— Mój młody panie! rzekł rozkazująco książę do Alfreda, pofatyguj się też na dół i każ zajechać memu powozowi przed dom, na dziedziniec.

Alfred podniósł dumnie głowę do góry, gdyż nie myślał słuchać rozkazu, wypowiedzianego takim tonem, nie chciał i czasu tracić, ponieważ hałas w sali balowej coraz więcej się wzmagał, a on pragnął być przy baronowej w tym zamęcie. Atoli przypomniawszy sobie, że właśnie ocalenie domu Fryzenów zależało może od księcia, ustąpił mu, chociaż go on upomniał szorstkiem wezwaniem: „No, wnet pan już pójdziesz?“

Zbiegając na dół po schodach i szukając powozu, powiedział sobie w duchu Lindau, że stając się księciu posłusznym, spełnia tylko ofiarę dla baronowej.

Książę zauważył dumę młodzieńca i zapytał ze zmarszczonem czołem:

— Kim jest ten młody człowiek?

— To pan Lindau, odpowiedziała Gabrjela, guwerner dzieci baronowej, jakiś ubogi chłopiec, a przytem bardzo wolnomyślny.

— I to takim ludziom powierzają ludzie swe dzieci, rzekł z uśmiechem książę.

— Na tem jeszcze nie koniec, mówiła dalej Gabrjela, Bóg wie, jak się rzeczy mają z kradzieżą djamentów, Lindau ma bardzo litościwe serce względem biednych robotników...

— Ha, ha, ha! rozśmiał się książę.

— Możeby mi książę zechciał jedną rzecz przyobiecać? powiedziała, przymilając się Gabrjela.

— I cóż to takiego? moje piękne dziecko, zapytał książę.

— Widzę ja tutaj i słyszę to i owo, odrzekła Gabrjela, śledzę tego niebezpiecznego młodzieńca. Jeśli znajdę słuszny powód do podejrzywania go o wspólnictwo w kradzieży djamentów i spowodowanie owego afrontu podczas balu, natenczas dam to księciu do zrozumienia, naturalnie z zachowaniem tajemnicy między nami, a książę zawyrokujesz, co się ma stać z tym młodym człowiekiem.

— Niezawodnie, moja droga panno Gabrjelo, odrzekł na to książę, pani jesteś wielką dyplomatką, sprawię ja temu chłopcu kurację, która mu raz na zawsze wypędzi z głowy niepotrzebne myśli.

Gdy książę zeszedł na dół z Gabrjelą, zajechał wła-

śnie powóz przed drzwi głównych schodów, dlatego też pozbył się on zupełnie swego gniewu tem więcej, ponieważ piękna Francuzka do niego się bardzo wdzięcznie uśmiechnęła.

— A więc pozostajemy przy naszej umowie, mój aniele? zapytał książę, ująwszy jej rękę.

Francuzka spuściła oczy wstydliwie i skinęła głową na znak zgody.

Książę ucałował jej rękę, lecz równocześnie uczuł, że i ona go w rękę pocałowała, a kiedy głowę podniósł, już zniknęła w głębi domu.

Książę, schodząc do powozu pomyślał sobie w duchu:

— Oto dziewczyna, jakiej mi było potrzeba, roztropna, dystyngowana, wielkoduszna, porywająco piękna, a przytem ona mnie kocha, kocha mnie namiętnie.

Kiedy już powóz księcia wytoczył się z dziedzińca, szukał jeszcze ciągle baron Fryzen swego dostojnego gościa. Skoro jego usiłowania w celu uspokojenia gości i przywołania ich do sali balowej spełzły na niczem, zeskoczył ze stołka, na którym był stanął, chcąc być lepiej słyszanym, i pospieszył w tę stronę sali, w którą się był udał niedawno książę z Gabrjelą. Lecz tutaj znalazł się samiuteńki jakby na puszczy, gdyż wszyscy goście stąd pouciekali. Naraz zdało się baronowi, że go cały świat opuścił. Z zasłonionemi ręką oczyma udał się on chwiejnym krokiem dalej poza małą orkiestrę, dokąd, jak o tem dobrze wiedział, książę z Gabrjelą w ciągu nocy kilkakrotnie się wymykał. Na tej małej przestrzeni panowała ciemność, to też Fryzen potrącił nogą o jakiś wielki, ciężki i ruchomy przed-

miot, który za popchnięciem zaczął mruczeć i toczyć się w półkole w niepokojący sposób, dopóki nie spoczął, nahałasiwszy się pierwej porządnie. Ponieważ baron Fryzen i tutaj nawet nie spotkał ani księcia, ani Gabrjeli, przeto chwycił się obiema rękami za głowę i usuwając się na sofę zawołał dwukrotnie, najpierw w gniewie i rozpaczy, następnie w smutku i zwątpieniu.

— A więc wszystko przepadło, wszystko, wszystko!

II.

W pustelni.

Upokorzenie jakiego Alfred doznał od księcia, sprawiało mu pewne zadowolenie i budziło w nim wesoły humor, gdyż znosił to upokorzenie ze względu na baronowę i jej dzieci, ze względu na dom, który mu zabezpieczył utrzymanie, a nawet na samego barona, którego rozpaczliwe położenie poznał, i nad którym się począł coraz więcej litować. Książę zaś, chociaż o tem nie wiedział, posiadał poniekąd prawo do sprawiania mu przykrości, ponieważ on przed kilkoma minutami dozwolił umknąć „zbrodniarzowi“, który książęcej mości wyrządził „afront“, zrzucając mu na głowę wielki kocioł do bębnienia. Do jego wesołego usposobienia przyczyniała się także i nadzieja, że wpadł na trop złodzieja, który sobie przywłaszczył djamenty. Stanowiły one majątek, który można było ocalić, gdyby barona spotkała zmiana, tak, iżby baronowę można było nazywać je-

szcze zamożną, nawet wtedy, gdyby przepadło było jej wiano wskutek podpisania swego nazwiska wówczas, kiedy zniszczonym został kosztowny wazon, „szczęście Edenbalu“. Może to było nawet rzeczą korzystną, iż jej klejnoty chwilowo zniknęły, przynajmniej na czas, w którymby je była niezawodnie pochłonęła przepaść nad jaką się obecnie znajdował baron Fryzen. Bakałarz nie wydawał się Alfredowi zwykłym złodziejem, gdyż i teraz jak przedtem żył w ubóstwie, zaciągnąwszy się jako flecista w służbę orkiestry. Podobnie też nie mógł się on dopatrzeć wpływu owych kroci, jakie kosztowały skradzione djamenty, pomiędzy robotnikami fabrycznymi, z którymi się częściej stykał w imieniu baronowej, aby im nieść ulgę i pomoc w ich przykrem położeniu. Chcąc tedy odzyskać djamenty, należało się trzymać bakałarza, tak rozmyślał w duchu Lindau, pełen nadziei, oglądając się po całym domu za baronową. Już po drugi raz schodził na dół schodami, gdy go baronowa wreszcie spotkała, wiedziona pod ramię przez hrabiego Kamińskiego. Była blada, ale spokojna, z niewysłowioną słodyczą powitała go skinieniem głowy i uśmiechem. W duszy Alfreda wymarło już oddawna owo uczucie ambitnej, próżnej miłości, która w początkowym czasie jego pobytu w willi rozpalała jego wyobraźnię, przemieniwszy się w braterską przyjaźń i litość, jaką go przejmowało bolesne położenie baronowej. I dlatego czuł się na nowo uszczęśliwionym każdym razem, gdy mu ona spojrzeniem dała do zrozumienia, iż podzielała jego przyjazne uczucia, i uradowanym, gdy ją ujrzał rozweseloną. Takim czuł się i

teraz po tem wszystkiem, co przeżył, tylko że w wyższym stopniu. Zawsze w takich chwilach cieszył się w duchu niezmiernie, iż między nim a baronową nie było żadnej winy, że go Opatrzność od niej uchroniła, jakkolwiek jego postępowanie mogło ją było sprowadzić. A w takim razie ta wina stanęłaby także pomiędzy nim a Marją.

Nucąc jakąś wesołą piosnkę przechodził przez puste i posępne, bo opuszczone pokoje, w których się odbywał bal wśród niesmacznej mieszaniny wdzierającego się oknami dziennego światła i mdłego błysku dopalających się świec i lamp, tudzież nogami poobdzieranych strzęp sukni, pogubionych chustek od nosa i poprzewracanych wazoników z kwiatami. Dopiero przed pokoikiem dziecięcym przestał Alfred nucić piosnkę: „Cieszcie się życiem, póki gore lampka!“ i otwarł cichutko drzwi, aby się jeszcze raz upewnić, czy niedawny hałas nie przebudził i nie przestraszył dzieci. Atoli one spały snem sprawiedliwych, a obok nich przy łóżeczku Odona, który nawet we śnie trzymał rękę swej opiekunki — Marja. Siedziała ona w krześle z poręczami; lecz jej główka spoczywała obok główki Odona na poduszce, a jej twarz we śnie miała podobnie jak u Odona wyraz dziecięcy. Na niej był rozlany niewysłowiony pokój i niewinność. Alfred wyciągnął nad nią rękę jakby z błogosławieństwem, a z tej błogosławiącej ręki wypadła przypadkiem i w roztargnieniu zerwana przez niego róża na jej łono. I to go ucieszyło — więc się uśmiechnął i z większem jeszcze zadowoleniem aniżeli przedtem wymknął się cichutko z pokoiku.

Dzień był bez deszczu, choć nieco zachmurzony. Po ogrodzie rozpostarła się jakaś smętność, a drogi i murawy w nim były podobnie zniszczone jak wszystko w sali balowej, lecz Alfred tego nie czuł bynajmniej. Jego duszy było tak miło jak jeszcze nigdy, nie wiedział on o tem, że oprócz wszystkich przytoczonych przyczyn jego wesołości, przyczyniało się jeszcze także i gorączkowe podniecenie jako następstwo nieprzespanej nocy. W tej chwili byłby był chętnie cały świat przygarnął w objęcia! Szybkim krokiem przeszedł ogród i gaik, nie pomyślawszy ani razu o tem, że już był czas do udania się na spoczynek. „Miłka", sarenka Marji wyglądnęła nieśmiało z ogródka Van der Sluy'a, jak gdyby się chciała była przekonać, że naokoło nastała znowu dawna cisza. Alfred począł ją wabić, a ona przeskoczyła płot jednym susem i zbliżyła się ku niemu, rada, że ujrzała znowu znajomą twarz, gdy ją wczoraj tyle obcych twarzy nastraszyło. Alfred, znajdujący się w wyjątkowem usposobieniu, przycisnął do siebie jej główkę i ucałował miłe zwierzątko jako własność i przyjaciółkę Marji. „Miłka" przymilała się mu jakiś czas, a potem przeskoczyła znowu na swoje terytorjum. Alfred podążył za nią i stanął nagle przed pustelnią, która miała być pierwotnie jego mieszkaniem. i którą musiał opuścić z powodu nieszczęsnego balu! Teraz radby był do niej znowu powrócić. Zbliżywszy się jeszcze więcej spojrzał uważnie do jej wnętrza, chcąc się przekonać, czy z niej wiele rzeczy będzie potrzeba wyprzątnąć; jej wnętrze było w istocie zupełnie przekształcone. Tylne przybudowanie, które było

jego alkową, zamieniono na bufet, odgrodziwszy je całkowicie kotarą i kredensem od przedniej części pustelni, która stanowiła jego właściwy pokój mieszkalny. Ten pokój był teraz przyozdobiony niebieską i białą draperją z przybraniem girland z liści i kwiatów. Było tutaj wszystko tak czyste, porządne i nietknięte, iż się zdawało, jak gdyby uczestnicy balu nie byli wcale wglądali do tej ukrytej pustelni, a Alfred powiedział sobie w duchu, iż go niepotrzebnie wydalono z tego cichego schroniska. W jednym rogu stała tutaj sofa, na której widok Lindaua zebrała chętka pokrzepienia się ożywczem snem wśród cichego zarania. Atoli pokonała go silniejsza pokusa jedzenia, gdyż na stoliku w pośrodku pokoju znajdowały się dwa nakrycia, flaszka malagi, piękny pasztet, a obok dwa krzesła, jak gdyby były czekały na przybycie gości.

— „Stoliczku nakryj się!“ — pomyślał sobie Alfred w duchu i zabrał się do śniadania z niepospolitym apetytem, ponieważ obok młodości nieprzespana noc i przebyte moralne wstrząśnienia domagały się odświeżenia sił posilnym pokarmem. Zresztą należał i Alfred do gości, więc miał pewne prawo do zakosztowania przyjemności balu. Kto wie, dla kogo przygotowano te dwa nakrycia? Teraz atoli były one opuszczone, wszyscy już się oddalili, dlatego mógł się właściwie każdy do nich przypytać. Po uspokojeniu w ten sposób sumienia usiadł Lindau przy stole i zapuścił głęboko zabójczy nóż w smaczny pasztet, a potem nalał sobie do szklanki wonnej malagi.

Nagle przeszkodził mu w uczcie jakiś szmer, który

go dolatywał z gaiku. Alfred wyjrzał oknem i spostrzegł pana Fryzena, torującego sobie drogę przez najgęstsze zarośla i zdążającego widocznie ku pustelni. W tej chwili trudno było rozpoznać w baronie eleganckiego i spokojnego światowca, jakim bywał zwykle Fryzen; rysy jego twarzy zdradzały niepokój i zmęczenie, jego ubior był w zupełnym nieładzie. Alfred nie życzył sobie spotkać się z nim po tem wszystkiem, co przeżył w ciągu tej nocy, nie chciał także, aby go baron był tutaj przydybał na spożywaniu niejako resztek z balu, jak to zwykli czynić łakomi służący. Dlatego też porzucił szybko nóż i widelec, gotując się do ucieczki. ale już było zapóźno, gdyż baron zbliżał się do drzwi przodowych. Na szczęście znalazły się tutaj także tylne drzwiczki, któremi miała wchodzić służba podczas balu z jadłem i napojem, Alfred przeskoczył tedy zgrabnie kredens i znalazł się poza kotarą, która zasłaniała bufet, atoli drzwiczki w tej jego dawnej alkowie były zamknięte tak, iż musiał w niej pozostać i siedząc cichutko na krześle, czekać, ażeby się baron wydalił z pustelni. W ciemności nie mógł być Lindau widzianym, jakkolwiek samemu było łatwem śledzić przez lekką zasłonę ruchy barona, który tymczasem wszedł do jasnego pokoju pustelni.

Lecz pokazało się, że baron nie myślał wcale opuszczać tak prędko pustelnię, gdyż skoro tylko do niej wstąpił, rzucił się natychmiast jakby zmęczony na sofę tak, iż Alfred myślał, że będzie musiał tak długo czekać w ukryciu, ażby się on był wyspał. Baron atoli powstał wkrótce i zaczął się przechadzać po pokoju,

wyglądając często oknem, jak gdyby był kogoś oczekiwał. Potem spoglądał na zegarek i siadał znowu na sofę, lecz po chwili powstawał, udawał się napowrót do okna i wyglądał nim badawczo. Mógł on uchodzić za żyjący obraz oczekiwania, niepokoju i przygnębienia.

Alfred pomyślał sobie w duchu:

— Prawdopodobnie usłyszę tutaj coś ciekawego i będę świadkiem sceny, któraby powinna była pozostać tajemnicą.

Zastanawiał się więc nad tem, czyby też nie było rzeczą przyzwoitą, wystąpić jeszcze w porę z ukrycia przed barona, atoli w tej chwili właśnie weszła do pustelni Gabrjela jeszcze w balowej sukni, tylko otulona obszerną brunatną chustką. Baron, spoglądający oknem ku willi, nie dojrzał jak ona bokiem około gaiku nadeszła, dlatego wzdrygnął się z przestrachu, gdy drzwi otwarła, a jej przybycie zdawało się być dla niego równie jak dla Alfreda niespodzianką, jakkolwiek na nie widocznie w pustelni czekał.

Gabrjela zrzuciła z głowy chustkę na ramiona, a Alfred omało że nie krzyknął ze zdziwienia, tak piękną nie widział jej jeszcze nigdy! Była ona cudownie, złowrogo piękną! Jakkolwiek Lindau nigdy ani cienia jakiegoś uczucia względem niej nie żywił i zaraz od początku unikał jej ze wstrętem, a nawet prawie z nienawiścią, zrozumiał przecież teraz, że ta dziewczyna mogła oczarowywać serca mężczyzn, jakby jakąś nieczystą siłą. Zdawało się mu nadto, jak gdyby ów wstręt w obec tej dziewczyny wypływał z niedołężności charakteru i umysłu, z pewnej lękliwości, a odwaga po-

kochania jej była dowodem męzkiej siły, jaką bywa niekiedy niejedna zbrodnia. Jakkolwiek Gabrjela była o głowę od barona niższą, od smukłego barona, i posiadała najwdzięczniejsze kształty, mimoto była w niej jakaś wielkość i potęga; bladość jej twarzy wskutek długotrwałej zabawy krasił lekki przyświecający rumieniec, a na białej jej skroni ukazywały się delikatne modre żyłki. Jej bujne, krucze włosy uwolniły się miejscami z więzów i spływały w pierścieniach na szyję i ramiona, uwydatniając czarnym połyskiem tem więcej ich mieniącą się białość. Jedną ręką okrywała chustką napół odsłonięte piersi przed powiewem rannego chłodu, spoglądając pomimo szybkiego wejścia do pustelni, po nocnej bladości i objawu w całej osobie, nadzwyczaj spokojnie, a nawet chłodno, jakkolwiek w pierwszej chwili na jej rumianych ustach zaigrał uśmiech. Na jej widok przywiódł sobie Alfred na pamięć owe niewiasty malarzy z epoki odrodzenia, owe niewiasty, żyjące w jednym i tym samym kraju i czasie z Lukrecją Borgią, piękną Jocondą, Bianką Capello, Betryczą Donato, które widza pociągają ku sobie tak porywającym urokiem, jakkolwiek to nie tajemnica, że oprócz piękności, ich bronią były także trucizna i sztylet!

— Dziękuję pani za dotrzymanie słowa! przemówił baron Fryzen, nachylając się ku ręce Gabrjeli, którą zaraz za jej wejściem był pochwycił, a po chwili dodał w postawie błagalnej, uniżonej.

— Dziękuję pani, panno Gabrjelo, chociaż się tego nie spodziewałem.

— A to dlaczego? zapytała wietrzmica lakonicznie.

— Po dzisiejszej nocy... sposób, w jaki pani księcia...

— To głupstwo! przerwała mu mowę Gabrjela, co mi pan miałeś do powiedzenia?

— Ja panią utracę, panno Gabrjelo! zawołał Fryzen drżącym głosem, po dzisiejszej nocy, przed nadejściem dnia muszę się w tej mierze upewnić, dłużej tego nie zniosę. Pani igrasz ze mną, dla pani jest rozkoszą moja namiętność, która mnie pożera. Muszę mieć pewność, pani obudziłaś we mnie nadzieję, a doprowadzasz mnie do rozpaczy! Na miłość boską, panno Gabrjelo, nie igraj pani ze mną, przynajmniej nie dzisiaj, nie teraz, potrzebuję się dowiedzieć, jaki mnie los czeka, ponieważ i ja muszę się zdecydować. W najbliższej przyszłości może się na mnie zwalić okropne nieszczęście, lecz ja się będę śmiał, jeśli mi tylko pani pozostaniesz wierną, jeśli mnie kochać będziesz!

Słowa te wypowiedział baron Fryzen głosem urywanym, płaczliwym. Lindau nigdyby nie był myślał, że jego chlebodawca mógł pałać taką namiętnością, dlatego też budził w nim politowanie. Baron wyglądał jak człowiek nieszczęśliwy, bardzo nieszczęśliwy, nagle zestarzały i skruszony, jak gdyby się był wyrzekł wszelkiej dumy.

Gabrjela zachowała dawny spokój.

— Kochany baronie i przyjacielu! odrzekła po chwili namysłu z wymuszonym uśmiechem, proszę, usiądź pan trochę. Znajdujemy się oboje w bardzo krytycznem położeniu. Każ pan na chwilę w swej duszy zamilknąć uczuciu i namiętności, abyś mógł należycie zrozumieć uwagi, które mi dyktuje zdrowy rozum. Czy pana ko-

cham, lub nie, mój drogi panie Fryzen, o tem w tej chwili nie będziemy rozprawiali. Mówiłam panu dosyć często, pozwoliłam panu... ale nie, wszak o własnych uczuciach nie myślałam wspominać. Jestem ubogą, osamotnioną dziewczyną, dlatego muszę się pokonywać i stłumiać w sobie budzące się uczucia, aby mój jedyny opiekun i obrońca, rozum, mógł swobodnie przemawiać. Chciej mnie pan tylko należycie zrozumieć...

— Chociażby i tak było, zawołał gorączkowo Fryzen, kochać panią przecie muszę. Obawiam się każdego słowa z ust pani, ale wiem, że panią kochać muszę, chociażbyś, nie wiedzieć co czyniła lub mówiła!

— Za to też nie minie pana nagroda, odpowiedziała z uśmiechem Gabrjela, atoli teraz proszę mnie spokojnie wysłuchać. Pan mnie znasz, pan wiesz, kim jestem, i znasz moję duszę, moję ambicję. Nie będę się o tem rozwodziła, pan musisz wiedzieć, chociażbym tego i słówkiem nie wypowiedziała, że kochać pana i pozostawać w pańskim domu, jeść łaskawy chleb i być pańską przyjaciółką... o, ja jestem latoroślą rodu de Chaumont... dlatego, jeśli pan tylko choćby iskrę miłości dla mnie w sercu żywisz, nie będziesz pan odemnie wymagał...

Tutaj urwała nagle Gabrjela i spojrzała na barona dumnem okiem tak, iż musiał spuścić swe własne oczy ku ziemi.

— Nie jestem ja tak zupełnie opuszczoną, pozbawioną wszelkiej pomocy, mówiła dalej z większą jeszcze dumą w głosie, owszem mogę uczynić wybór mego losu! Potrzebuję tylko skinąć, a hrabia Egon powiedzie mnie

do ołtarza. książę Wiktor...

Gdy baron usłyszał to nazwisko, wyprostował się znowu i błysnął okiem, potem chciał powstać z krzesła i coś odpowiedzieć, atoli Gabrjela nie dopuściła go do słowa.

— Uspokój się pan, panie baronie, odrzekła ujmująco, Egon jest marzycielem, zniewieściałym dziwakiem, z którymbym się okropnie nudziła, do połączenia się z księciem potrzebaby było jeszcze długich wstępnych zabiegów i rokowań, zanimbym się mogła zdecydować na krok podobny. Nie przyjęłabym podrzędnej roli, ja chcę panować. Nad wszystko przeniosłabym wolność, zupełną niezależność.

Chłód tych wywodów zamroził pozornie uczucie Fryzena gdyż się nie ruszył i siedział jak ten, komu wolno tylko przysłuchiwać się, ale nie odpowiadać. Atoli jego spojrzenie mówiło, że słowa i zachowanie się Gabrjeli, nie wpłynęły bynajmniej ujemnie ani na jego namiętną miłość, ani na podziw względem tej wietrznicy. Owszem uśmiechnął się on, gdy się do niego Gabrjela jak najbliżej przysunęła i na jego ramieniu oparła rękę.

— Kochany panie Fryzen! powiedziała, ponieważ pan dotychczas usłyszałeś to, co doradzał rozum, przeto dozwolę teraz i sercu, aby choć słówko powiedziało. Tak, kochany baronie, ja pana miłuję. Lituję się nad pańskiemi cierpieniami, pragnę należeć całkowicie do pana, ale...

— Ale? zapytał Fryzen nieśmiało.

— Musisz mnie pan uczynić wolną, niezależną, aby

moja miłość względem pana okazała się dobrowolnym darem.

— Jak, jak pani sądzi? zapytał znowu baron drżącym głosem.

— Powiadają ludzie, że pan posiadasz 20 milionów...

Tutaj zatrzymała się Gabrjela w mowie na chwilę, a baron spuścił oczy ku ziemi.

— Z tych 20 milionów, rzekła Gabrjela nieco głośniej, z większą stanowczością, dasz mi pan milion!

Baron Fryzen wzdrygnął się i chwycił się rękoma za głowę, nie odpowiedziawszy ani słowem. Gabrjela stała przy nim, spoglądając na niego wyczekująco.

— Pan się ociągasz? zapytała po chwili nieco szyderskim głosem, książę...

Fryzen nie dozwolił jej dokończyć.

— Nie mogę, zawołał błagalnie, panno Gabrjelo! posłuchaj pani, jam jest zrujnowany, mój cały majątek przepadł. Dowie się o tem świat w krótkim czasie, i wszystko będzie stracone, pieniądze, honor, stanowisko, wszystko!

Po tych słowach osunął się baron bezwładnie na poręcz krzesła i drżał na całem ciele, zdawało się, jak gdyby się w tej chwili o kilka lat był zestarzał.

Gabrjela nie ruszyła się, nie zmieniła wyrazu twarzy, tylko powiedziała nieco czulszym głosem.

— Biedny przyjacielu! przeczuwałam coś podobnego od dłuższego czasu i martwiłam się, że mnie pan nie wtajemniczyłeś w swe troski i cierpienia. Żądając od pana miliona, żądam go także dla samego pana, bo nie o sobie tylko myślę w tej sprawie, ale o nas o-

bojgu. Pan tutaj długo nie pozostaniesz, pojadę tedy przed panem do Francji, do Paryża i będę pana tam oczekiwała. Tam w odosobnieniu pośród wielkiego miasta, albo wśród ciszy wiejskiego mieszkania będziemy szczęśliwymi.

Fryzen potrząsnął głową i zawołał:

— Ja jestem ubogim człowiekiem!

Gabrjela zaś mówiła dalej:

— Pan dysponujesz jeszcze znacznemi kwotami, ja ocalę ich część...

— Do mnie nie należy już nic, odrzekł baron w zwątpieniu, to by było kradzieżą.

— Gdzie się mówi o milionie, albo o czemś ważniejszem, powiedziała Gabrjela, tam nie ma mowy o kradzieży!

Baron Fryzen wyprostował się dumnie na te słowa jak za najlepszych czasów i choć był blady, a w duszy znękany, odrzekł stanowczym głosem:

— Panno de Chaumont! potrafię wprawdzie kulą roztrzaskać sobie głowę, ale kraść nie potrafię!

Rzekłszy to wyszedł z pustelni i znikł w głębi gaiku.

Gabrjela stała zakłopotana, oparłszy się o poręcz krzesła patrzyła nieruchomo na ziemię, nie była ona przygotowaną na taki rezultat rozmowy, jeden z jej planów został odrzucony, wypadało wymyśleć nowy. Oparła tedy głowę o rękę, usiadłszy na krześle przy stole i przymknęła oczy. Gdy je znowu otwarła, zabierając się do opuszczenia pustelni, pokazał się Alfred w pośrodku kotary zasłaniającej bufet, z założonemi na piersiach rękami, spoglądając jej bystro w oczy. Gabrjela uśmie-

chnęła się w dziwny sposób, potem wzruszyła ramionami, osłoniła się chustką i wyszła pewnym krokiem z pustelni, która się stała widownią sceny, która nie przemawiała na korzyść szczerości ludzkich uczuć.

III.
Odkrycia.

Pierwszy dom przedmieścia od strony wewnętrznej miasta X. posiadał na kilku kamiennych stopniach wzniesioną pompę studzienną w pośrodku basenu, gdzie też umieszczony był posąg Apolina z lirą w ręku w stylu „rococo“. W ulicy tego przedmieścia panował wielki ruch, tędy bowiem około wspomnionej studni spieszyło wszystko pieszo i w powozach ku środkowi rezydencji. Szmer i plusk wody, wydobywającej się ze studni, głuchł całkowicie wśród turkotu powozów i nawoływań przekupniów, zachwalających swój towar. Dlatego też odezwała się Jaga:

— Bakałarczyku! to tutaj miejsce nie jest odpowiednie do rozpoczęcia świetnej karjery i zwrócenia na siebie uwagi. Twój flet jest za słaby, aby mógł z tego miejsca rozsławić twój kunszt muzyczny. Prawda, że mniej więcej za godzinę poschodzą się tutaj dziewczęta po wodę i gdy zobaczą z bliska tak ładnego chłopca jak ty, natenczas nie będą nawet czekały na głos twej muzyki, a przecież sięgną do kieszeni, napełnionej skradzionemi groszami. Jeśli na to liczysz, natenczas masz

słuszność jak zawsze, atoli byłoby rzeczą korzystniejszą, aby cię mogły słyszeć. Grasz na flecie bardzo a bardzo ładnie, jak prawdziwy muzyk nadworny, odkąd się tak zakochałeś w szlachcianeczce, słusznie też mówią ludzie, że „miłość jest największym muzykiem!“ Mimoto nie prowadzi ona do niczego, podobnie jak wszyscy muzykanci. Bo co ci przyniosła dotychczas twoja muzyka? U Fryzenów rozdymałeś sobie płuca przez 12 godzin, a teraz nie możesz się nawet do nich udać po odbiór należących ci 5ciu reńskich, aby nie być aresztowanym, ponieważ rzuciłeś księciu na głowę kocioł do bębnienia. Doprawdy, doprowadziłeś daleko, gdy kochając się w francuskiej szlachciance musisz być wędrującym muzykantem i grywać na ulicy. Mój Boże, taki człowiek jak ty, szperający w książkach — ach, serce mi pęka.

Tak przemawiała Jaga nieustannie, częścią na serjo, częścią w chęci rozweselenia bakałarza. On atoli leżał nieruchomo na dolnym stopniu studni, z głową opartą o kamień, trzymając flet w obwisłej ręce, która się nurzała w ulicznym pyle. Z serdecznem współczuciem, prawie z rozrzewniającą czułością spoglądała na niego stara Jaga. Widocznie kochała i szanowała szczerze bakalarza, o którym była przekonaną, że on wszystko może, wszystko wie i umie, będąc stworzonym do czegoś wyższego. Stojąc obok niego z nutami w ręku w zamiarze zbierania datków, gdyby się publiczność była zgromadziła, mogła była posłużyć wraz z leżącym na stopniach studni bakałarzem jakiemu malarzowi lub noweliście za materjał do nowego wzruszającego utworu pod tytułem n. p. „Muzyk i jego matka“.

Ponieważ atoli bakałarz jeszcze ciągle nic nie odpowiadał, przeto poruszyła smutnie ramionami i rzekła jeszcze czulszym głosem:

— Tyś nie jest stworzony do... jakże mam to powiedzieć, do żebrania na ulicy, cóż, kiedyś się uparł, że nie dozwolisz dłużej abym ja ciebie żywiła! Mój Boże! wszak mi bieda taka nie dokucza, a z kimże się mam dzielić, jeśli nie z tobą? Gdybyś tylko chciał uwierzyć w to, co ja w siebie niekiedy całemi godzinami wmawiam, że ty jesteś tym samym dobrym chłopcem, którego mi niegdyś chciano umorzyć w lazarecie we Włoszech, natenczas przyjąłbyś odemnie pomoc jakby od matki. Ale ty jesteś za dumny, a ja jestem za lichą babą, abym ci mogła być matką!

Na te słowa zerwał się bakałarz i zawołał:

— Ot, głupstwo! Dlaczegoż miałbym być dumnym, ja, najnędzniejszy człowiek na świecie? Ty jesteś dla mnie dobrą jak matka, przyjmuję to chętnie i jestem ci za to wdzięcznym, ale dlatego nie mogę przecie żyć twoją pracą i pozbawić cię oszczędzonego grosza, abyś na starość w nędzy wlokła resztki życia.

— Zgoda! jesteś poczciwym chłopcem, odpowiedziala Jaga, lecz nie możesz przecie umierać z głodu. Wszak posiadasz skrzyneczkę, a nie popatrzyłeś nawet, co ona zawiera, drobnostka mogłaby ci dopomódz.

— Pierwej mi ręka uschnie, zawołał bakałarz z oburzeniem, zanim się dotknę zawartości tej skrzynki, w której nie ma nic innego oprócz drobnych ozdób i drogich familijnych pamiątek!

— Dobrze, dobrze, rzekła śmiejąc się Jaga, z ciebie

człowiek delikatny, który nie chce ani od matki nic przyjąć, ani uszczuplić mienia kochanki. A gdyby też ta skrzynka zawierała coś innego, nie same drobne ozdoby i familijne pamiątki? Odkąd wiem, że baronowej skradziono djamenty, nie mogę sobie tego wybić z głowy, że w tej skrzyni... że twoja kochanka... rozumiesz mnie?

— Milcz, milcz! zawołał bakałarz, machnąwszy gwałtownie ręką, nie czyń mnie warjatem i nie wyjmuj mi z głowy myśli, aby mi je przedkładać potem, jakby na talerzu.

— A widzisz, widzisz teraz? odrzekła staruszka, potrząsając głową. Mój synu! sprawiasz mi wielki kłopot.

Bakałarz wyprostował się i stanąwszy na najwyższym stopniu u studni zawołał w natchnieniu:

— W mej głowie poczynają się śnić myśli bezładnie, gdy zwarjuję, nie będę narzekał, jeśli tylko moja fiksacja polegać będzie na wyobrażeniu, że z nią, Gabrjelą I. panuję nad rozległemi krajami, będąc od niej kochanym, że mnie z wielkiej miłości struła...

Ta satyryczna deklamacja zwabiła wiele przechodniów, a dziewczęta, które się tymczasem u studni pojawiły, dozwalały przelewać się wodzie po przez wierzch naczyń, śmiały się, zwracając całą uwagę na flecistę. Ci z przechodniów, którzy później nadeszli, dopytywali się, co się stało, i coraz więcej powiększał się tłum ciekawych, cisnąc się ku studni.

— To nic, odpowiadałą głośno Jaga, mój biedny,

chory syn, znakomity muzyk pragnie się popisać grą na flecie.

— Dobrze mówisz, mruknął bakałarz, chwila jest bardzo dogodna, muzyka mnie rozerwie.

Rzekłszy to przytknął flet do ust i zaczął wygrywać na nim arję z „Serenady“: „Cicho pieśni me błagają...“ Dziewczęta przestały się śmiać, przysłuchiwały się z wielką ciekawością, przypatrując się muzykowi z upodobaniem; toż i wśród reszty zgromadzonych ludzi dostrzegła zadowolona Jaga wielką uwagę i objawy życzliwości. Zaczęła więc zwijać kartę nutowego papieru, gotując się do zbierania datków po ukończeniu „Serenady“, atoli bakałarz już w połowie utworu urwał nagle. Z przestrachem spoglądała ku niemu czuła opiekunka i przekonała się, że „jej biedny syn“ z wyżyny u studni ponad głowy słuchaczy, patrzał nieruchomo na ulicę ku miastu zdążający zamknięty ciemny powóz. Po chwilce jednym susem zeskoczył bakałarz ze stopni studni, przedarł się przez tłum zgromadzonych ludzi, przebiegł ze 30 kroków naprzód, potem wskoczył na kamień, stojący przy drodze i spoglądał z niego wytrzeszczonemi oczyma za owym powozem, dopóki on, skręcając na lewo nie wtoczył się do śródmieścia.

— To szalony muzykant! poczęli teraz ludzie mówić, rozchodząc się od studni.

— Szkoda go! wołały z ubolewaniem służące, w których się już obudziły sentymentalne uczucia i marzenia, a które wskutek nagłego przerwania słodkiej melodji musiały powrócić do chłodnej rzeczywistości i dzbanków! Jaga pobiegła co tchu starczyło za ba-

kałarzem w przekonaniu, że się spełniła jego przepowiednia, a on zwarjował.

Zadyszana dopadła go wreszcie i zawołała ze łzami w oczach drżącym głosem:

— Moje dziecko, mój chłopcze, mój synu! i któżto był w owym powozie, co się stało, co ciebie tak przestraszyło? Wszakżeś ty naprawdę nie zwarjował?

— Czyś nie widziała przejeżdżającego obok nas powozu, zapytał podobnież bakałarz, zeskoczywszy z kamienia i pochwyciwszy Jagę za ramię, czy nie zauważyłaś owego ciemnego, zamkniętego powozu, ciągnionego przez dwa gniade konie. Obok woźnicy siedział gładko ogolony mężczyzna, który się uśmiechał.

— Ależ kochane dziecko, odrzekła Jaga, wszakże tędy przejeżdża tyle powozów i tyle jest ludzi z gładko ogoloną twarzą, którzy się uśmiechają.

— O, nie! upierał się bakałarz, mało kto bywa tak starannie ogolony i uśmiecha się w tak właściwy sposób jak on. Ten jego uśmiech rozpoznałbym wśrod kroci podobnych uśmiechów, a potem z jakąż to obawą i niepokojem zaglądał on wśród ciągłego uśmiechu do wnętrza powozu, chcąc się przekonać, czy się w nim jeszcze znajdowała ofiara.

— Ja ciebie nie rozumiem bakałarzu! powiedziała Jaga, zdaje się mi, że mówisz od rzeczy.

— Nie mówię od rzeczy, zapewniał bakałarz, mam na myśli powóz świętej Hermandady!

— Święta Hermandada? — zapytała niedowierzająco Jaga, nie słyszałam jeszcze nigdy o takiej świętej!

— Tak nazywamy policję! odrzekł bakałarz, znam

ja dobrze ten powóz jeszcze z dawniejszych czasów, znam i owego człowieka, który siedział na koźle. Za tym powozem zdążają zwykle jeszcze dwaj jeźdźcy...

— A więc to dawniejsze twoje przyaresztowanie dało się ci tak we znaki, że teraz tracisz zaraz głowę, ile razy ujrzysz ten powóz?

— Ale gdzież tam, zawołał bakałarz, ja się go nie lękam bynajmniej. Mnie przestraszyło co innego.

— I cóżto takiego, mój synu? zapytała Jaga.

— Poznałem dobrze przyaresztowanego w powozie!

— A któż nim był, może który z twoich dawnych przyjaciół?

— Był nim Lindau, odpowiedział faworyt Jagi, guwerner państwa Fryzenów!

— A, ten ładny chłopiec, którego powaliłam mą kulą! Dobrze mu tak, temu obrońcy bogaczów, nieprzyjacielowi biedaków.

— Matko Jago, zawołał gniewnie bakałarz, tylko nie wyjeżdżaj z frazesami! Ja poczuwam się do wdzięczności względem tego człowieka, który mi dozwolił umknąć wówczas, gdy księciu zrzuciłem na głowę kocioł do bębnienia. Mamże więc spokojnie się przypatrywać, dozwolić, aby się to stało?

— Co tobie znowu? zapytała zaniepokojona Jaga.

— Ów powóz pojechał wprost ku sądowi karnemu, odrzekł bakałarz, znam dobrze drogi. Czyż więc mam dozwolić, aby niewinnego prześladowano, aby utracił cześć, dobre imię? Wprawdzie to wszystko przesąd, lecz ja niechcę być winnym w tej sprawie...

— Ty, a cóż ciebie ona obchodzi? Pokazuje się

znowu, że mówisz od rzeczy.

— Matko Jago! zawołał zniecierpliwiony bakałarz, nie mówię ja od rzeczy, owszem zdaje się, że twoja myśl nie może już nic odgadnąć, każdą rzecz potrzeba ci wykładać jasno jak na talerzu! I jakiejż zbrodni mógł się on dopuścić? Baronowej skradziono djamenty, i cóż się stanie, jeśli na niego zwalą podejrzenie? Czy się mam temu spokojnie przypatrywać. O, nie, pobiegnę natychmiast do willi, muszę pomówić z Gabrjelą i dowiedzieć się, co się stało, co ta tutaj skrzyneczka zawiera!

Mówiąc to zwrócił się ku przedmieściu, które należało przejść, chcąc dostać się do willi barona Fryzena, gdyż to było to samo przedmieście, ta sama droga, któremi przejeżdżał tak szczęśliwy, tylu nadziejami ożywiony Lindau, w wynajętym powozie wśród majowego zarania, o którem wspominało się na początku powieści. Jaga podążyła spiesznie za bakałarzem, myśląc sobie w duchu.

— Muszę iść razem z nim, bo się mu mogę przydać, jako żebraczka mogę się przecisnąć aż do Gabrjeli i stać na straży, gdy się z nim zejdzie w ogrodzie. Wynurzyła też wnet bakałarzowi swe nadzieje, mówiąc:

— Dopiero wtedy powinniśmy przybyć do willi, gdy się całkowicie ściemni, gdy wtedy będziemy mogli wejść niepostrzeżenie, ja do mieszkania, ty do gaiku, dokąd ci z wszelką pewnością sprowadzę ulubioną.

Już zapadł dobry zmrok, gdy się bakałarz z Jagą przesuwali pomiędzy wiejskiemi domkami, dlatego też

nie spostrzegli w chustkę osłoniętej osoby, która się obok nich szybko przemknęła. Dopiero na przedmieściu odrzuciła ona w tył chustkę w celu ochłodzenia się i ukazała się piękna, miła, choć troską i zgryzotą owiana główka dziecięcia. Była to Marja Van der Sluy, która jeszcze szybciej zdążała ku miastu, aniżeli bakałarz ku willi. Niezmordowanie spieszyła długą główną ulicą przedmieścia przez tłum ludzi, nie zważając na rozmaite uwagi, które dochodziły jej uszu, ani na zaczepki niejednego młodego brukotłuka.

— Gdybym tylko odszukała jego dom, mówiła sobie chwilami w duchu, gdybym go w nim tylko zastała! Chcąc się dostać prędzej do śródmieścia, weszła na poboczną drogę, lecz tutaj w samotności ogarnęła ją trwoga tak, iż spoglądała z większą uwagą niż dotychczas na krzaki, znajdujące się po prawej i lewej stronie. W tem przystanęła, gdyż o kilka kroków przed sobą ujrzała jakiegoś człowieka, stojącego na ławce i starającego się zbliżyć jak najwięcej ku bliskiej latarni przedmiot, który trzymał w ręce. Pomiędzy wielkim i wskazującym palcem miał on list, który w ten sposób na zgięciach przygniótł, iż w kopercie powstał wąski otwór, który mu umożliwił odczytanie treści listu. Nie mógł się on atoli utrzymać spokojnie na nogach, gdyż się musiał pochylać na bok, aby światło latarni padało należycie na papier. Zaczął tedy w głos przeklinać i złorzeczyć. Marja chciała go szybko ominąć, ale naraz poznała liberję, potem samego jej właściciela, którym był Jakób, masztalerz Gabrjeli.

— Chwała Bogu! powiedziała sobie w duchu Marja,

nawinął się mi on tutaj, jak gdyby był z nieba zesłany, może mnie przeprowadzić przez miasto i wskazać dom hrabiego.

Potem zawołała głośno:

— Jakóbie, co wy tutaj robicie?

Jakób wzdrygnął się i nie wiele brakowało, a byłby się jej do nóg z ławki zwalił, przecież jako dawny wychowanek cyrku zdołał utrzymać równowagę ciała i zeskoczył szczęśliwie na piasek.

— Miły Boże, panno Marjo, a skąd się pani tutaj wzięła, zawołał potem ochłonąwszy z przerażenia, jakżeż mnie pani przestraszyła!

— Wierzę temu, odrzekła Marja, że człowiek musi się łatwo przestraszyć, jeśli czyta bez pozwolenia listy, pochodzące od osób tak znakomitych.

— Jużci, jużci! potwierdził masztalerz, spoglądając w zakłopotaniu na list, który jeszcze ciągle w ręce trzymał, ale to także zanadto wielka pokusa, chcieć poznać pismo tak znakomitych osób! Zaręczam atoli pani słowem honoru, że nie mogłem odczytać jego gryzmołów. Pisze on tak kiepsko, iżby się i masztalerz czegoś podobnego wstydził. No, ale prawda, książętom wolno wszystko!

— A więc to list od księcia? zapytała Marja.

— Rozumie się, a czyjżeby miał być? Od samego balu nie ma ani chwili spokoju, codziennie muszę się udawać do miasta i to piechotą, aby to nie wpadło komu w oko tam, w willi. Panna Gabrjela nie pozwala zapominać księciu o niej. Mimoto zaręczam pani, panno Marjo, że ogień nie chwyta, nie będzie nic z tej ca-

łej historji, i nic z mego umieszczenia jako przyboczny masztalerz księcia, pomimo wszelkich obietnic! Ludzie tacy jak ja rozumieją się na rzeczy. Ogień nie chwyta, powiadam pani. Inaczej nie kazanoby mi tak długo czekać, książę przywoływałby mię do swego gabinetu, a ja muszę teraz często całemi godzinami wysiadywać w przedpokoju. A potem jakież to są jego listy? Zwykł jej pisać, dwa, trzy wiersze! Niech tam ktoś mówi co chce, ale kto pisuje dwa, trzy wiersze do osoby miłej, ten jej z pewnością nie kocha. Gdy miłość zacznie pisać, natenczas trudno się doczekać końca tego pisania, wiem o tem dobrze, miarkowałem to po hrabi Wimpenie, kiedy pisywał do młodziutkiej baronowej Sankenównej. Powiadam pani, panno Marjo! iż jego korespondencje można było mierzyć na sążnie, a i tak baronówna użalała się na krótkość jego listów.

— To mnie nic nie obchodzi, przerwała mu mowę Marja, chciałam się tylko zapytać, czy książę...

— Wybacz mi pani, panno Marjo, mówił dalej Jakób, pani przydybałaś mnie na gorącym uczynku, gdym się dopuszczał wielkiej zbrodni, dlatego powinienem się w obec pani wytłómaczyć. Rozchodzi się tu mianowicie o mnie, o mnie samego, dlatego muszę wiedzieć, jak się rzeczy mają. Gdy siedzę w przedpokoju księcia, wyśmiewają mnie służący i mówią, abym sobie nie robił żadnych nadziei, gdyż z całej sprawy nie będzie nic. Panna Gabrjela nie stanie się, czemby być chciała, i ani ja nie zostanę przybocznym masztalerzem księcia, ani ona jego kochanką. Rzecz się ma tak, jak mi ją wyłożył bardzo rozsądny trzeci pokojowiec, pan

Walter. „Nie ma zwyczaju w naszym książęcym domu“, mówił on, „jak to się n. p. dzieje we Francji, albo w Anglji, przybierać sobie tak zwane „przyjaciółki“, albo „faworytki“. Owszem członkowie naszego domu bywają cnotliwi, toż i książę Wiktor musi być cnotliwym, jak tego po nim wymaga zwyczaj. A potem właśnie rozpoczęto rokowania w sprawie ożenienia go z zagraniczną księżniczką, w takiej więc chwili byłoby rzeczą bardzo niestósowną, jeśli się mianowicie chce pozostać cnotliwym, rozpoczynać z Francuzką“...

— Ależ ja wam mówiłam Jakóbie, przerwała mu znowu mowę Marja, że mnie te rzeczy wcale nie obchodzą. Chciałam wam tylko to powiedzieć, że jeśli was nie mam wydać jako ciekawego służącego, który czytuje listy księcia, natenczas macie mnie najkrótszą drogą zaprowadzić do hrabiego Aureliusza Kamińskiego.

— Uczynię to z chęcią, odrzekł skwapliwie Jakób, panna Gabrjela może poczekać. Jeśli pani nie znasz mieszkania hrabiego, natenczas nie znajdziesz go z pewnością bez przewodnika. Mieszka on w takiem miejscu, że aż wstyd! Wyobraź sobie tylko pani, jego rezydencją jest tak zwany „dom mieszczański“, w którym przynajmniej 60 rodzin mieszka, a między nimi napotyka się ludek taki jak: rzemieślników, podwładnych urzędników, profesorów i t. p.

Potem zdążając już z Marją ku miastu dodał:

— Jeśli zaś pani mówisz, że panią owa historja z księciem nic nie obchodzi, to się pani mylisz.

Tutaj zamilkł na chwilkę masztalerz, a następnie powiedział z takim wyrazem na twarzy, jak gdyby mu

była jakaś szczęśliwa myśl w głowie zaświtała:

— Pani miałabyś mnie zdradzić? To rzecz niemożebna, ponieważ najpierw jesteś zanadto szlachetną, aby módz zgubić biednego masztalerza, a potem ja naruszyłem tajemnicę listu jedynie dla pani, tak, tylko dla pani! Proszę się mi tylko przypatrzyć, tak jest, a nie inaczej. Uczyniłem to jedynie z samego szacunku względem pani i z miłości bliźniego.

— Doprawdy? zapytała z uśmiechem Marja, a jakże się to da wytłómaczyć?

— Widzi pani, mówił dalej masztalerz z bardzo poważną miną, moje wieloletnie doświadczenie w służbie u rozmaitych znakomitych osób i mój dworski instynkt, który mi jest rękojmią, że tak, czy siak, kiedyś jeszcze na dwór powrócę, powiadają mi, że gdy się takie dwie osoby jak panna Gabrjela i książe Wiktor spoufalą i tak często do siebie pisują, natenczas na tem wychodzi zawsze źle jakaś trzecia osoba, która się tego najmniej spodziewa.

— A któż jest tym razem tą trzecią osobą? zapytała Marja.

— Powiem pani, odrzekł Jakób, jeśli mi pani przyobiecasz, że się zanadto nie przestraszysz, bo widzi pani, wszak my o tem wszyscy dobrze wiemy, że panna Marja i pan Lindau...

— Pan Lindau, zawołała Marja, a cóż on ma wspólnego z tą sprawą?

— Bardzo wiele panienko! odrzekł masztalerz, powiadam pani bardzo wiele, bo oto zaraz drugiego dnia po balu, kiedy zanosiłem drugi list od księcia, spoj-

rzałem przypadkowo do środka t. j. do listu, a tam, co najpierw i wyłącznie w nim mogłem wyczytać, było nazwisko Lindaua!

— Nazwisko Lindaua, zawołała zaniepokojona Marja, a czegoż ona chce od niego?

— Czy ja wiem? powiedział Jakób, nie, ja tego nie wiem, atoli kiedy dzisiaj pana Lindaua zabrano i przyaresztowano, panna Gabrjela zaś udawała takie zatrwożenie jak sama pani baronowa i mały Odo, natenczas pomyślałem sobie: Wiem, komu to należy zawdzięczyć. Biedny poczciwy pan Lindau wie zapewne coś takiego, czego wiedzieć nie powinien, on żenuje w czemś pannę Gabrjelę, dlatego musi być stąd usuniętym na krótszy lub dłuższy czas, musi się stąd oddalić, albo w pobliżu osiąść w więzieniu, a książę urządza tę sprawę według jej życzenia, jedynie dla jej pięknych ócz, „pour mes beaux yeux", jak się zwykle wyrażała francuska pokojówka hrabiny Sakenowej, gdy czegoś od nas chciała. Bo widzi pani, tego nikt w domu nie wierzy, aby pan Lindau z powodu djamentów...

— Milczcie Jakóbie, milczcie! zawołała gniewnie Marja, o, ja to dobrze przeczuwałam, skąd ten cios wyszedł. Spieszmy prędko do hrabiego!

— Już jesteśmy u celu! zapowiedział masztalerz... Mieszka on tutaj w drugim podwórzu na drugiem piętrze po prawej ręce. Ale nieprawdaż, panno Marjo, pani mi przyrzekasz...

IV.

Przyjaciele

Atoli Marja Van der Sluy znikła już pośród ciemnego podwórza i pobiegła szybko w górę schodami, zadyszana, szczęśliwa, że się znalazła u celu, a znowu nagle zaniepokojona i zatrwożona krokiem, jaki miała uczynić. W odważnem atoli postanowieniu pociągła za dzwonek i zanim się spostrzegła, stanęła w przedpokoju w obec służącego, który się jej ze źdźiwieniem przyglądał. Jakby we śnie zapytała o hrabiego i znowu bezwiednie stanęła w drugim pokoju przed hrabią Kamińskim, który na jej widok szybko z sofy powstał.

— Marysia, zawołał z ugrzecznieniem, lecz nie bez źdźiwienia, i cóż ciebie dobre dziecko sprowadza do mnie? Musiało się coś nadzwyczajnego przydarzyć w willi.

— O tak, coś nadzwyczajnego panie hrabio! powtórzyła Marja, dzisiaj popołudniu przyaresztowano pana Lindaua.

Wyrzekłszy te słowa z pospiechem zaczęła łkać spazmatycznie biedna dziewczyna.

— Przyaresztowano go, zapytał hrabia, a to dlaczego?

Marja, nie mogąc wymówić słowa wzruszyła ramionami.

— A, jeśliby się to stało dlatego... powiedział hrabia, dotykając ręką czoła, jeśliby to w istocie miało nastąpić... natenczas byłaby to prawdziwa hańba.

— Tak się też stało, panie hrabio, jak pan myślisz! odezwała się teraz Marja, odgaduję co pan myślisz,

bo nazywasz to hańbą. Tak, to hańba, rzecz niesłychana.

W słowach urywanych opowiedziała następnie Marja hrabiemu to, o czem się od Jakóba dowiedziała.

— Uspokój się, moje dobre dziecko, rzekł hrabia, sadzając ją z ugrzecznieniem na sofę, jesteś bardzo wzburzona. Uspokój się, proszę, im cel jest haniebniejszy, tem łatwiej będzie go można udaremnić, chociaż to sprawka księcia. O, ta Gabrjela to prawdziwy zły duch w domu Fryzenów, wiem o tem oddawna! Dziękuję ci, moje dziecko, że mnie natychmiast o tem uwiadomiłaś.

— Myślałam sobie, panie hrabio, mówiła Marja nieśmiało, spuszczając oczy ku ziemi, że gdy pan zawsze okazywałeś wiele współczucia i dobroci względem pana Lindaua, który w istocie na nie zasługuje...

— Bez wątpienia, potwierdził hrabia z uśmiechem, on zasługuje jeszcze na coś więcej, wart, aby takie dobre dziecko jak ty o niego się niepokoiło i nieszczęśliwem się czuło, gdy na niego usiłują rzucić tak ohydne podejrzenie! Lecz bądź spokojną, my się już dowiemy, co ta cała sprawa oznacza, i stargamy sieć zastawioną.

— Właśnie o to miałam prosić pana hrabiego! rzekła Marja ze złożonemi rękoma i z tak błagalnym wyrazem na twarzy, iż hrabia tylko z trudnością mógł ukryć wzruszenie. Musiał on też i o tem pamiętać, że był starym kawalerem, a Marja u niego samiuteńką, inaczej byłby ją był ucałował w czoło.

— A cóż powiedział pan Fryzen na to przyaresztowanie? zapytał po chwili hrabia Kamiński.

— Pana barona nie było wtedy w domu, odrzekła Marja, od dnia w którym się u nas bal odbył, zagląda on bardzo rzadko do willi i to zawsze tylko na krótki czas. Nie miałam odwagi zbliżenia się do niego, gdyż się zdaje że ma wiele kłopotów na głowie, bywa ponurym, opryskliwym, milczącym, a zresztą nie okazywał też nigdy wiele życzliwości wobec Lindaua.

Hrabia westchnął.

— A baronowa? zapytał dalej.

— Nie posiadała się z żalu, odpowiedziała Marja, płakała, chciała ręczyć za pana Lindaua, atoli ów jegomość który przybył po niego, nie chciał się wdawać w żadne układy, twierdząc, iż otrzymał ściśle określone rozkazy. A dopieroż biedne dzieci baronowej, ach, jakże one narzekały, gdy im uprowadzono ich ukochanego przyjaciela!

— Biedna Matyldo, szepnął baron jakby do siebie, a więc jeszcze i to musiało cię spotkać w tym czasie! Jakżesz gorzko budzisz się z uspienia w którem twe życie było dotychczas pogrążonem!

— To samo i ja myślałam w ciągu ostatnich dni, zapewniała Marja z pewną poufałością, mój Boże! co się stanie z baronową, z tym delikatnym kwiatkiem, jeśli go z cieplarni nagle wystawią na ostre powietrze? Ale ja zaręczam panu hrabiemu, że lepiej wypadnie, aniżeli sobie wyobrażamy, nawet wtedy, gdyby jeszcze większe groziło niebezpieczeństwo aniżeli obecnie. Baronowa zmieniła się nie do poznania, jest ona wprawdzie stroskana i przygnębiona, ale zupełnie spokojna i posiada jak się mi zdaje, wiele siły. Chociażby nawet

wielka nadeszła burza, znajdzie ona podporę, w mym ojcu, we mnie i w panu Lindau, skoro tylko odzyska wolność. Nie opuścimy jej z pewnością, i chociażby się w stosunkach baronostwa wiele zmieniło, postaramy się aby to jak najmniej odczuła.

— Marysiu! zawołał hrabia Kamiński, a czy nie zapomniałaś przypadkiem kogo wymienić, czyż już nie ma nikogo, ktoby...

Marja ujęła tutaj rękę hrabiego i rzekła z uczuciem:

— O. nie, panie hrabio, nie zapomniałam o nikim, lecz nie śmiałam mówić o wiernym przyjacielu, który sam wszelkich starań dokładał, aby ukryć swą wypróbowaną przyjaźń...

— Cicho, moje dziecko, odrzekł hrabia, i nie bądź tak domyślną, ty mała ogrodniczko!

Potem zaś dodał, chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot.

— A ty jakżeś się zachowała, kiedy ci twego Lindaua zabrano?

Marja rozśmiała się w głos i odrzekła z zarumienieniem:

— Powiedziałam urzędnikowi takie grubiaństwo, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie wymówiłam. On zaś zapewniał mnie, że mnie mógł za nie natychmiast aresztować! Niechby był tylko spróbował, ten niegodziwiec.

— Wiem już, wiem, rzekł hrabia z uśmiechem, za Lindauem poszłabyś nawet na wygnanie.

— Poszłabym z pewnością i... zaręczała Marja, dlaczegóżbym się miała zapierać? On gotów dla mnie daleko więcej uczynić. Czy pan wiesz, panie hrabio, że

on już od kilku tygodni pracuje w naszym ogrodzie jak zwykły chłopak do pomocy, ile razy tylko dorwie wolną chwilkę; że chce zostać dla mnie ogrodnikiem, abym tylko nie potrzebowała kiedyś ojca porzucać, a on mógł z niego zdjąć ciężar dotychczasowej pracy. Ojciec zaś mój powiada, że będzie znakomitym ogrodnikiem, artystą.

— To jest bardzo romantycznie, powiedział hrabia Kamiński, i bardzo rozsądnie, rzemiosło ma pod sobą grunt złotodajny. Ale ponieważ właśnie mówisz o swym ojczulku, powiedz-że mi Marysiu! cóż ojciec mówił, gdy przyaresztowano twego romantycznego oblubieńca i jego ucznia?

— Ach, mego ojca nie było niestety w domu, odrzekła Marja, w przeciwnym bowiem razie wypadłoby było niejedno zupełnie inaczej. Od wielu dni przebywa on poza domem, tu w mieście, albo w podróży. Nie wiem, czem się zajmuje, wiem tylko tyle, że ciągle tylko pieniądze i weksle przerzuca. Zabrał z sobą, co tylko znalazł z wartościowych papierów, aby je wymienić na gotówkę. Potrzebuję pieniędzy i to wiele pieniędzy, powiedział mi, kiedy mi kazał wszystko z ksiąg kupieckich powypisywać, zaglądnij tam, kto ma jeszcze co wypłacić, i zacoby jeszcze można otrzymać gotowe pieniądze.

— Domyślam się wszystkiego! rzekł w zamyśleniu hrabia, takich ludzi jak twój ojciec, znam nie wielu na świecie, jest on przytem przyjacielem...

W tej chwili oznajmił hrabiemu lokaj przybycie

Van der Sluy'a, który wszedłszy zaraz potem do pokoju zawołał:

— Dobry wieczór, panie hrabio! patrzcie no, to tutaj jest także i Marychna, skąd się tutaj wzięłaś?

Nie czekając na odpowiedź córki, która z uradowaniem się zerwała i na szyję się mu rzuciła, zwrócił się do hrabiego i mówił dalej:

— Przebacz, panie hrabio, że pana o tak późnej godzinie niepokoję, lecz nie mogłem żadną miarą przyjść wcześniej, miałem okropnie wiele do czynienia...

— Ależ ojczulku, zawołała Marja, zaledwo na mnie popatrzyłeś i nie dziwisz się wcale że mnie tutaj widzisz. Nie pytasz i słówkiem, co ja tutaj robię u pana hrabiego?

— Nie będzie to zapewne nic ważnego, odrzekł Van der Sluy, ale zwykłe dzieciń每stwo! Przyszłaś niezawodnie w jakiejś sprawie, tyczącej się twego Alfreda, boć tylko nim samym masz nabitą głowę.

— Jużci w sprawie Alfreda ojczulku! powiedziała córka, jego aresztowano, siedzi w więzieniu.

— Tak? odrzekł z zadziwieniem Van der Sluy. Nasza sprawiedliwość doprowadziła już do tego, że siedzenie w więzieniu staje się zaszczytem. Ten młody chłopiec ma się jeszcze wielu rzeczy wyuczyć, i to będzie dla niego lekcją...

— Ależ ojczulku...

— Głupstwo, czego lamenty, głowy mu nie zetną! Będzie to jakaś niegodziwa sprawka, o tem potem. Mam o czemś ważniejszem do pomówienia z hrabią.

Ty możesz sobie tymczasem narzekać, ale proszę cichutko, sama dla siebie!

Marja wcisnęła się w kąt sofy; a ojciec usiadł naprzeciw hrabiego Kamińskiego.

— Pan już zapewne odgadłeś, łaskawy panie hrabio, powiedział, o co się rozchodzi. Już od tygodnia jestem na nogach, częścią w celu wywiedzenia się o położeniu pana Fryzena, częścią w celu pozyskania środków do jego ocalenia. Tak panie hrabio. Położenie jest rozpaczliwe. Ostatnia nadzieja pana barona zasadzała się na pieniądzach księżniczki Elżbiety, pochodzących ze sprzedaży jej dóbr, które podobnie jak pieniądze innych osób książęcego domu były u niego ulokowane. Z tego teraz nic nie będzie, ponieważ i dwór się już dowiedział, że w ostatnich czasach baronowi nie wiodło się w interesach tak, iż szukał pomocy na giełdzie i przez to przyspieszył własny upadek. Dlatego też i książę Wiktor zareklamuje według wszelkiego prawdopodobieństwa już w najbliższych dniach swoje 3 miljony, a to będzie hasłem dla reszty wierzycieli, i na katastrofę nie będzie potrzeba długo czekać! Temu trudno zaradzić. Można atoli jeszcze ocalić majątek baronowej, willa zaś musi być ocaloną; raz dlatego, abym się mógł i nadal zajmować ogrodnictwem, a potem aby ta dobra pani mogła pozostać w swym domu, gdyż, skoro się zapobiegnie zewnętrznym odmianom, nieszczęście które ją spotka, nie będzie dla niej tak dotkliwem! Na szczęście udało mi się pościągać weksle, na których się i ona wraz z mężem popodpisywała; musiałem wprawdzie w tym celu pozaciągać pożyczki, ponieważ

własne środki nie wystarczyły, lecz się tem nie niepokoję, gdyż będę mógł długi pospłacać. Baronowa tedy już zabezpieczona; ja tylko dlatego zatrzymam weksle w ręku, aby módz w danym razie zabrać głos z innymi jako wierzyciel. Teraz atoli rozchodzi się o ocalenie willi i ogrodu, który ma nas wszystkich w przyszłości wyżywić i spłacić przezemnie zaciągnięte długi. Ta willa, to dom bardzo zbytkowny, tak, iż się mało kupców na nią znajdzie; ogród tylko przezemnie ma wartość i dlatego też będzie się można obyć mniejszemi kwotami, aniżeliby to było możebnem w innym razie. Ale proszę mi darować, panie hrabio, ja się spieszę i jestem niespokojny, więc się obawiam, że panu należycie wszystkich rzeczy nie wyłożyłem; nie wiem, czy mnie pan całkowicie rozumiesz?

— Rozumiem pana najzupełniej, kochany panie Van der Sluy, odrzekł hrabia Kamiński, rozumiem pana doskonale, rozumiem nawet to, czego mi pan nie powiedziałeś.

— Dobrze! powiedział Van der Sluy, a teraz kolej na pana, panie hrabio; na dom i ogród musisz pan dostarczyć pieniędzy. Dom, to nieodzowny warunek. Dobra baronowa była w nim szczęśliwą i tylko tutaj doznawała przyjemności, dlatego musi w nim pozostać, aby jak najmniej nieszczęścia i odmiany w nim poczuła. Pieniądze nie przepadną, ponieważ...

— Mój kochany panie Van der Sluy, rzekł z uśmiechem hrabia Kamiński, nie potrzebujesz mnie pan uspokajać, pan byłbyś jeszcze gotów do dania mi faktycznej rękojmi. Mój kochany przyjacielu Van der

Sluy! w tej sprawie radbym był podobnie jak w wielu jeszcze innych rzeczach, być panem samym. Znając pana domyślałem się oddawna, że pan ani dla siebie, ani dla tego tutaj dziecka nie stałeś się kupcem i nie zbierałeś pieniądze. Było to dla mnie nauką. Baronowa jest dla mnie osobą drogą, jej dzieci kocham, jak gdyby to były moje własne dzieci. Dla tego też i ja od wielu lat przysparzałem majątku, który mi zresztą Fryzen ocalił. Gdy to przed wielu laty uczynił, jakkolwiek mnie bliżej nie znał, ofiarowałem mu mój portret z kilkoma wierszami, w których się mieściło grzeczne lecz chłodne podziękowanie! Jego wspaniałomyślność nie domagała się i nie oczekiwała nigdy innego podziękowania. Dlatego też uważam przez niego ocalony majątek jako jego własny, do jego rodziny należący. Kto posiada majątek, ten go powinien posiadać nietylko dla siebie, ale i dla drugich.

Van der Sluy mruknął coś pod nosem, Marja zaś pochwyciła rękę hrabiego i zawołała z zapałem:

— Pan jesteś najszlachetniejszym człowiekiem!

— O, bynajmniej, moje dziecko! powiedział hrabia Kamiński, na to się nie zgadzam. Nie chciałbym uchodzić za lepszego, aniżeli nim jestem w istocie. Wyznaję, że wśród innych okoliczności postąpiłbym inaczej i że nie kierowałem się w tej sprawie ani wdzięcznością, ani położeniem barona wyłącznie. Pobudką było dla mnie tutaj przedewszystkiem osobiste uczucie, szczera przyjaźń względem dobrej baronowej, gdyż tylko niesienie jej pomocy sprawia mi zadowolenie, czyni mię szczęśliwym.

Hrabia czynił to wyznanie, przechadzając się szerokim krokiem po pokoju. Potem otworzył sekretarzyk, wyciągnął szufladę i rzekł, zwracając się do Van der Sluy'a: „Oto mój cały majątek, proszę brać, ile pan potrzebujesz!“

— Dobrze, odrzekł Van der Sluy, przyjdę, gdy tego będzie potrzeba. Obecnie sprawy najbardziej naglące załatwione, mogę więc powrócić do moich kwiatów i szczepów. Burza nadejdzie lada chwila, dlatego potrzeba być w pogotowiu i spokojnym. Teraz wypadałoby jeszcze odzyskać skradzione djamenty, lecz ja nie jestem stworzony do usług policyjnych. Pomiędzy robotnikami nie znajdzie z pewnością djamentów baronowej, nie ma ich także i bakałarz, jakkolwiek to pan Lindau przypuszcza, gdyż ten chudak żyje jak przedtem w niedostatku i nie dozwala nawet, aby go Jaga żywiła. Moje dotychczasowe poszukiwania przekonały mnie, że onby się czegoś podobnego nie mógł dopuścić. No, no, my i bez tych djamentów damy sobie radę. A teraz do domu, potrzeba obejrzeć, czy się tam zanadto nie rozpleniły chwasty!

V.

Przebudzenie.

W milczeniu zdążali późną nocą ojciec z córką ku domowi. Tylko kiedy niekiedy starała się Marja zwrócić uwagę rodzica na opowiedziane mu szczegóły, od-

noszące się do przyaresztowania Lindaua, na swe cierpienia z tego powodu i zajście z masztalerzem Jakóbem. Van der Sluy atoli zaledwo zważał na jej mowę, niekiedy zaś pomrukiwał w właściwy sposób, a wtedy Marja nie śmiała dalej mówić. Była już prawie północ, kiedy wreszcie oboje przybyli do willi. Van der Sluy kazał córce wejść do ogrodu, sam zaś postanowił według zwyczaju obejść jeszcze pierwej dom, park i ogród, zanimby się udał na spoczynek. Głęboka cisza i na pozór błogi spokój panowały nad posiadłością baronostwa, jakby nad łożem spiącej dzieciny.

Nie poruszyły się ani gałązka, ani drobny liść na drzewie, tylko pies domowy mruczał na dziedzińcu z radości, gdy posłyszał znane kroki. Słowiki ucichły już dawno, bo się już jesień zbliżała, nie szemrał i strumyczek, gdyż jego wody wyschły wśród letnich upałów. Właśnie nadszedł był Van der Sluy, obchodząc mur od strony zewnętrznej do wyboju w murze, którym strumyczek wypływał na otwarte pole, gdy nagle usłyszał wśród ogólnej ciszy jakieś głosy. Dolatywały go one ku wielkiemu ździwieniu z samego parku, właśnie owym wybojem w murze, obok którego niedaleko znajdowały się rozmawiające osoby.

— A więc wreszcie przychodzisz mój bakałarczyku! odezwał się drżący, lecz żartobliwie śmiejący się głos kobiecy, zdaje się mi, że ci szczęście sprzyja, wszak przesiedziałeś na darniowej ławie wśród ciemnej nocy całe trzy godziny z kochanką.

— Bądź też rozumną starucho, odezwał się drugi gniewny głos męski, i milcz!

— Dlaczegoż miałabym milczeć? Owszem powinnam się radować, wszak ja ci ją sprowadziłam, mnie zawdzięczasz swoje szczęście.

— Szczęście! zawołał bakałarz i rozśmiał się, ja jestem najnędzniejszym człowiekiem na ziemi.

— No, no, uspokój się tylko, to jest jedynie przesyt po tak wielkiem szczęściu!

— Ona mnie oszukuje, odrzekł ponuro bakałarz, wodzi mnie za nos, udaremnia wszelkie moje nadzieje, zbywa mnie wymówkami, lekceważy, aby nie potrzebowała dotrzymać obietnic, jakie mi poczyniła owej pierwszej nocy! Pytałem ją, kiedy wreszcie zamyśla powrócić do Francji, oświadczając, że jestem gotów towarzyszyć jej i służyć za ostatniego parobka, bylebym tylko mógł być zawsze przy niej. lecz ona zbyła mnie czczemi słowami. Wyrzucałem jej zbyt poufałe obcowonie z księciem, a ona mi tłómaczyła, iż mnie chce uczynić wielkim panem...

Tutaj rozśmiał się bakałarz tak głośno, jak gdyby się był znajdował u siebie w domu. Jego towarzyszka przestraszyła się tem widocznie, gdyż zawołała szybko na znak ostrzeżenia: „Ciszej!“

Mimo to mówił bakałarz dalej głośno:

— O, pomszczę się ja na księciu, inaczej i mnie przyaresztują jak Lindaua, bo jestem jego niebezpiecznym rywalem. Zdaje się mi już od kilku dni, że mnie wszędzie otaczają nieprzyjaciele.

— Bakałarzu, ty pleciesz głupstwa, powiedziała Jaga, a ja zapominam wśród tego o najgłówniejszej rzeczy. Czy w skrzyneczce są djamenty, czy nie? Na tem wiele

zależy, choćby tylko dlatego, abyś odzyskał spokój duszy.

— Djamenty? zapytał bakałarz, jak gdyby się był namyślał, nie wiem tego. Kiedy zobaczyłem piękną, śliczniutką Gabrjelę, zapomniałem że mnie tutaj sprawa z djamentami sprowadziła. Ach, jakiż ze mnie nikczemnik. Biedny Lindau odsiaduje może w więzieniu niewinnie jako złodziej, który skradł djamenty, a ja o tem zapomniałem, patrząc w ładne oczka, spowiadałem się z mej miłości i rozpływałem się z rozkoszy, gdyż mi wolno było całować jej szyję.

— A więc nie wierzysz... spytała Jaga.

— O, teraz już wierzę, odrzekł bakałarz, że w tej skrzyneczce są djamenty, a nie relikwie po drogiej matce. Ha, piękna Gabrjela potrafi wiele! Ale czyż się jej nie należą prawnie wszystkie djamenty tego świata. Niech tedy raczej wszyscy Lindauowie pousychają w więzieniu! Lecz nie, przypominam sobie... tak, tak jest, ona mi sama mówiła o przyaresztowaniu Lindaua. Stało się to z politycznych powodów... tak, tak, ona mi to sama powiedziała! Ale dlaczego mi tylko moja pamięć tak nie dopisuje? Zdaje się mi Jago! że tracę rozum, to są skutki miłości! Nie zdradzę jej nawet wtedy, gdyby mi dała do przechowania wszystkie djamenty, jakie posiadają Brazylja i Delhi. Atoli że ja rozum tracę, to rzecz pewna!

— E, pójdź, już pójdź! naglila zaniepokojona Jaga, i nie mów z taką przesadą: Stracić rozum z miłości, to głupstwo, człowiek potem tego żałuje, gdy się opamięta znowu.

Van der Sluy wyciągnął energicznie rękę ku wy-

bojowi w murze, gdyż postanowił przytrzymać natychmiast bakałarza, skoroby się tylko z pod muru wychylił. Lecz bakałarz stał jeszcze na miejscu i prawił dalej:

— Czyżbym naprawdę miał być człowiekiem bez poczucia własnej godności, złym i nikczemnym? Występek nie powinien się nigdy łączyć z urodą! Niegdyś byłem niewinnem dzieckiem i myślałem, że występek bywa zawsze szkaradnym, to też pierwszą moją boleścią było spostrzeżenie, że występek może się także łączyć z urodą. Nasz świat powinien być właściwie takim, jakim go sobie wyobrażają i mieć chcą dzieci. Tylko cnota powinna być piękną, do niej tylko powinny należeć talent i geniusz. Jestto dziecięce marzenie, ale zarazem najwyższa mądrość i cel, do którego z głębi duszy dążyć powinniśmy.

Van der Sluy'owi obwisła nieco sztywnie wyciągnięta ręka, a on potrząsnął głową. Jagę, która najpierw z wyboja w murze wystąpiła, przepuścił spokojnie mimo siebie, bakałarza zaś, który szedł za nią, uchwycił silnie, lecz oględnie za ramię.

— Mój chłopcze! rzekł potem stanowczo, teraz zachowaj mi się zupełnie spokojnie, jesteś moim jeńcem i już mi się tak łatwo z rąk nie wymkniesz. Nie stanie się ci nic złego, ale jesteś mi potrzebnym.

Bakałarz przerażony okropnie, przycupnął ku ziemi i nie wyrzekłszy ani słowa spoglądał z odgiętą w tył głową w twarz Van der Sluy'owi, który się sam uląkł straszliwie wytrzeszczonych ócz młodego człowieka. Właśnie zamyślał go uspokoić, gdy Jaga, zrozumiawszy

zagrażające niebezpieczeństwo poczęła przeraźliwie krzyczeć i uderzać kulą po ramieniu Van der Sluy'a, który trzymał bakałarza.

— Stara czarownico! zawołał Van der Sluy, pochwyciwszy lewą ręką kulę Jagi, milcz, albo popchniesz bakałarza w nieszczęście. Jeśli się na twój krzyk zbiegną ludzie, może się on łatwo dostać w ręce sprawiedliwości. wszak wiesz, z powodu skradzionych djamentów. Lecz ja nie chciałbym sprowadzić publicznego zgorszenia, ani zguby bakałarza. A więc bądź cicho i nie wtrącaj w nieszczęście siebie i jego!

Jaga pojęła całą sprawę do zdziwienia prędko i odrzekła spokojnie:

— Ja ciebie znam Van der Sluy, wiem, że co raz pochwycisz w swe żelazne ręce, tego już nie wypuścisz, a twoja mowa i obietnice to także nie mydlane bańki, ale tego tutaj młodzieńca muszę ci odebrać, chociażbym miała duszę djabłu zapisać!

— Owszem, powiedział Van der Sluy, zapisz duszę djabłu, lecz tego młodzieńca nie puszczę, bo mi jest potrzebnym.

— Porzuć mnie, porzuć matko! przemówił do niej bakałarz, nadszedł wreszcie początek, a może i koniec mego przeznaczenia! Opór na nic się nie przyda. Zresztą Van der Sluy ochroni mnie od skrytobójców, a jeśli mnie tylko zatrzyma w swym domu, jak obiecuje, natenczas będę przecie blisko niej się znajdywał. Porzuć mnie i pozostaw własnemu losowi.

Gdy to bakałarz mówił, zwrócił się już z nim Van der Sluy ku drzwiom mieszkania, za nimi szła Jaga,

prosząc jeszcze tylko ogrodnika, aby się z bakałarzem po ludzku obchodził i ochronił go od nieszczęścia. Potem zwróciła się ona ku miastu, ciągle mrucząc i zrzędząc, bakałarz tymczasem znalazł się w pokoju Van der Sluy'a, któremu odpowiadał na zadawane pytania jakby w toku surowego śledztwa, posłuszny jak dziecko. Van der Sluy zauważył przy tej sposobności niezwykłe roztargnienie i nieład w myślach nieszczęśliwego faworyta Jagi, który wkrótce potem,. przyrzekłszy ogrodnikowi, iż bez jego wiedzy nie wydali się z domu, popadł na darniowej ławie w cieplarni w głęboki i twardy sen, który świadczył, iż bakałarz nie mógł być zupełnie zdrowym.

Podczas gdy „Bóg lat dziecięcych“ obsypywał hojnemi darami nieszczęsnego jeńca Van der Sluy'a, któremu myśli zaczęły już stawiać nienaturalne przywidzenia na oczy, sama pani domu, biedna baronowa, przebiegała długi szereg pokojów wśród udręczenia duszy. Nie sypiała ona już od długiego czasu, a jeśli kiedy przymrużyła znużone oczy, to tylko na chwilkę! Odo znowu powrócił do sił i zdrowia, ale za to jego otoczenie popadło w chorobliwość. Czuła to lubo niejasno baronowa, i coraz więcej otwierały się jej oczy. Przypominała sobie pojedyncze wypadki i słowa, na które dawniej nie zwracała uwagi, teraz nabierały one dla niej znaczenia i tworzyły razem całe dzieje. Poznać było po niej, że teraz więcej widziała i słyszała aniżeli dawniej. W jej postawie uwydatniało się teraz więcej energii i stanowczości, jej chód stał się pewniejszym, nie była ona już l u n a t y c z k ą, której się lękał obu-

dzić hrabia Kamiński. Wyrzucała sobie teraz, owszem wstydziła się, iż się tak długo znajdowała pod opieką drugich, jakby jaka istota niedojrzała! Była przedewszystkiem matką, a czyż mogła nią być w pełnem tego słowa znaczeniu, z zamkniętemi oczyma? Czyż najlepsza kobieta jest matką, jeśli się stara tylko o zdrowie, wesołe usposobienie i wdzięk u dzieci? Czyż się nie należy równie starać o ich przyszłość i dobre imię? Czyż nie jest obowiązkiem matki poznanie ludzi, wśród których jej dzieci mają być ludźmi? Kobieta, która poznała te wymagania powinności macierzyństwa, zapomina o osobistem szczęściu, bywa hartowną i spokojną, czego nie wie, tego dochodzi matkom wrodzoną intuicją, jej wszelkie usiłowania zmierzają ku otoczeniu dzieci pogodną, zdrową atmosferą, w którejby ich młode dusze mogły się należycie rozwijać. Reszta bywa dla niej rzeczą poboczną. Toż wtedy, kiedy Van der Sluy, Marja i Lindau cichaczem o jej dobro się starali, poznała baronowa już dokładniej swych przyjaciół, aniżeli znała siebie samą. Kiedy się oni starali zabezpieczyć jej przyszłość pod względem materjalnym, wiedziała baronowa Fryzenowa, że troje tych ludzi stanowiło świat, w którym jej dzieci mogły się prawidłowo i korzystnie rozwijać. Serce się jej krajało, gdy zauważyła, że kiedy podobne spostrzeżenia w duchu czyniła, myślała jak najmniej o mężu i ojcu jej dzieci. Atoli pomiędzy nią a mężem była jakaś wina, coś nieczystego, wypadało więc, aby to pierwej zostało usuniętem, albo moralnie oczyszczonem. Że to nastąpić miało, tego się spodziewała i pragnęła z całej duszy. Kiedy go, lubo

rzadko, widziała, chodzącego w milczeniu, z wyrazem przygnębienia i boleści na twarzy, domyślała się, że oczekuje pokuty, a więc pojednania się z nią. Dlatego też zdawało się jej, że musi sama coś uczynić w celu uwolnienia go od winy i moralnego oczyszczenia domu.

W tem usposobieniu zastała ją Marja, która teraz stósownie do woli ojca musiała była porzucić kwiaty i księgi handlowe, aby módz być nieustannie przy baronowej. Ponieważ się zaś przedewszystkiem losem Lindaua zajmowała, przeto opowiedziała jej Marja natychmiast o odkryciach jakie poczyniła przy pomocy masztalerza, a dopiero potem o przytrzymanym przez jej ojca tej nocy bakałarzu i o pewnych zeznaniach, jakie on w obec Van der Sluy'a mimomolnie i jakby w gorączce poczynił. Baronowa potrzebowała dłuższego czasu, zanim z przeszłych doświadczeń mogła się była domyśleć, w jakiej styczności z jej położeniem byli: książę, korespondencja Gabrjeli z tym sybarytą, przyaresztowanie Lindaua, skradzione djamenty, bakałarz i reszta pogmatwanych okoliczności. Nawet po dłuższej rozwadze nie zrozumiała ona tego wszystkiego, lecz zdawało się jej, że teraz odgadła charakter i zamiary Gabrjeli. Opowiedziane przez Marję szczegóły posłużyły jej za dalszą wskazówkę, w jakim kierunku miała się zabrać do moralnego oczyszczenia domu i swego stosunku do męża. Przeszedłszy się po pokoju i dotknąwszy się kilkakrotnie w zamyśleniu czoła, przystąpiła potem z jakiemś silnem postanowieniem do drzwi i zadzwoniła. Dzwonek zabrzmiał tak głośno, iż do pokoju wpadła z przestrachem Barbara.

— Niechaj tutaj przyjdzie natychmiast panna Gabrjela! nakazała baronowa pokojówce stanowczym głosem. Potem założyła ręce za siebie i nie ruszając się z miejsca zwróciła ku drzwiom oczy.

Gabrjela weszła po chwili do pokoju z uśmiechem na twarzy, ale ten uśmiech ustąpił z miejsca natychmiast wyrazowi ździwienia, a potem pokory, skoro ujrzała baronowę w tak niezwykłej postawie. Chlebodawczyni, której oczy tchnęły dotychczas zawsze łagodnością i słodyczą, spoglądała teraz na nią nieruchomo i chłodno, tak, iż mimowolnie upokorzyć się musiała, dumna Gabrjela, która poruszała ustami, nie mogąc słowa wymówić.

— Panno de Chaumont, rzekła baronowa po francuzku, nie podnosząc wprawdzie głosu, ale stanowczo i nie ruszając się, pani opuścisz mój dom i to jeszcze dzisiaj.

— Pani baronowo! zawołała Francuzka, pani mnie wypędzasz, a to dlaczego?

— Jeszcze dzisiaj! powtórzyła baronowa równie spokojnie jak pierwszy raz.

Gabrjela rzuciła na nią prędko okiem, potem podniosła głowę, odwróciła się i wyszła wyprostowana z pokoju.

Skoro baronowa odwróciła po chwili wzrok za drzwi, zauważyła Marją, która się skuliła w fotelu i płakała. Odgadła, co się działo w duszy tej dobrej dziewczyny. Ileżto walk i boleści musiała przebyć baronowa, aby módz wreszcie uczynić krok, na który dopiero co patrzaliśmy. Marja płakała z litości względem niej, a ba-

ronowa wiedziała o tem, gdyż czuła w tej chwili, że była godną pożałowania. Powiedziała sobie w duchu, że ten krok albo ją pojedna całkowicie z mężem, albo go od niej na wieki oddali. Przygnębiona osunęła się na sofę, jakkolwiek się nigdy tak silną i samoistną nie czuła jak właśnie w tej chwili.

W pół godziny później zebrała się służba w przedpokoju około pokojówki Barbary. Opowiadała ona i powtarzała już po raz dziesiąty:

— Zaklinam się na honor, że się tak stało, wszak słyszałam na własne uszy, bo rozumiem po francuzku, jakkolwiek udaję, jak gdybym ani słowa nie rozumiała w tym obcym języku. Stałam u drzwi i słyszałam przypadkiem, bynajmniej nie podsłuchując na własne uszy, jak pani baronowa powiedziała: „Panno de Chaumont, pani opuścisz mój dom i to jeszcze dzisiaj!“ To powiedziała, jak pragnę zbawienia mej duszy, sama pani baronowa ją wypędziła!

— Jużci nie uczynił tego z pewnością pan baron! powiedział z uśmiechem Jakób, a wszyscy domownicy na znak zgody zaczęli się śmiać niepomiernie.

Poważny lokaj Eliasz stał na schodach nieco wyżej od innych, puknął palcem w tabakierkę, którą od niejakiego czasu mimo wstrętu barona z widoczną ostentacją zawsze w ręce trzymał, i zażywszy niuch tabaki rzekł, potrząsając głową:

— To rzecz ciekawa, bardzo ciekawa!

— Że tak jest, jak powiedziałam, mówiła dalej Barbara, tego dowodem jest to, że już przygotowuje swe

rzeczy do odjazdu i przywdziewa brunatną suknię w zielone pasy.

— To rzecz bardzo ciekawa, powtórzył Eliasz, gdyż takiej osoby nie wypędzają tak łatwo jak nas, zwykłe sługi. Panna Gabrjela różni się od nas tylko tem, że nawet za 6 tygodni nie dostanie zapłaty, no ale ona za to jest szlachcianką!

Nowy głośny śmiech towarzyszył temu dowcipowi starego sługi.

— To rzecz sprawiedliwa! mówił dalej zachęcony Eliasz. Ja mówię zawsze: albo, albo; albo pieniądze, albo szlachectwo, każdemu coś innego! Nazywa się to zrównaniem stanów. To tylko zastanawia w całej tej sprawie...

— Że ją pani baronowa wypędza; przerwała mu Barbara, skąd się tylko nasza pani zdobyła na taką odwagę? Wszak ona nie potrafi nawet kogoś z nas odpędzić.

— Całkiem słusznie! potwierdził Eliasz, Barbara ma rozum; zauważałem to zawsze z przyjemnością, i gdybym się w wyjątkowy sposób nie zapatrywał na małżeństwo, byłbym jej oddawna złożył dowody, jak dalece umiem jako człowiek doświadczony oceniać duchowe i inne zalety tego niewieściego indywiduum. Atoli zakwestjonowana sprawa ma jeszcze inne, donioślejsze znaczenie.

Dostrzegłszy z zadowoleniem wzbudzoną ciekawość i uwagę na wszystkich twarzach, zażył Eliasz na nowo tabaki i stanąwszy o jeden stopień wyżej na schodach zaczął prawić statecznym, oratorskim tonem:

— Gdy łagodna gołąbka, jaką można nazwać naszą panią baronowę, naraz pokaże sępie, albo powiedzmy dla przyzwoitości orle szpony, gdy pannę z starożytnego rodu wyrzuca z domu osoba świeżo nobilitowana, prawie jeszcze wieśniaczka, gdy władza, nie pytając się gospodarzy zabiera im z domu i aresztuje guwernera, gdy po tak świetnym balu, jaki u nas dawano, nagle zapanuje w domu taka cisza, gdy w ciągu takiego balu następuje afront i publiczne zgorszenie, gdy z takiego domu złodziej zabierze kosztowne djamenty, a mimo to państwo nie powypędzają z domu połowy przynajmniej sług, albo ich nie wtrącą do więzienia, natenczas...

— Natenczas zanosi się na coś niedobrego! uzupełniła Barbara.

— Tak jest moja Basiu, powiedział Eliasz, odgadłaś jak zawsze!

— A odkąd to mnie pan tykasz panie Eliaszu? zapytała obrażona pokojówka.

— Odtąd, odrzekł służebny krasomowca, odkąd me myśli odgadujesz piękna dziewczyno! oraz w chwilach ważnych, gdy zaś miewam mowy, wtenczas „tykam“ każdego człowieka na świecie! Przez to nabierają moje słowa podniosłości. Ale ja jeszcze nie skończyłem mych wywodów. Ja jako najstarszy, najdoświadczeńszy i najmądrzejszy pomiędzy wami, powinienem był zwrócić waszą uwagę na to, aby każdy pomyślał o przyszłości i o przytułku na wypadek katastrofy, której bliskie nadejście proroczy duch mi ukazuje, gdyż człowiek nie jest bydlęciem i myśli o jutrze.

Mowa Eliasza wywarła widoczny wpływ na słucha-

czach, to też natychmiast podzieliło się zgromadzenie na grupy, które się poczęły naradzać. Barbara zaś zawołała:

— To wszystko dla mnie rzeczy obojętne! Ja pozostanę u pani baronowej, choćby się nie wiedzieć co stało, choćbym miała z nią jadać suchy chleb.

— Basiu, moje serce! rzekł czule Eliasz, zszedłszy do niej z wywyższenia, ty jesteś szlachetną samarytanką, chociaż się tego nie domyślasz. Ja ciebie bardzo szanuję, rozumiem podobne wzruszenia duszy i zaprawdę! powiadam ci, że tam pozostanę, gdzie ty pozostaniesz, gdyż o suchym chlebie nie będzie bynajmniej mowy, ponieważ pani baronowa posiada z pewnością własny majątek, ja zaś z chęcią będę podzielał z tobą to, co zaoszczędziłem.

Do tych praktycznych uwag byłby był poczciwy Eliasz dorzucił z pewnością kilka jeszcze erotycznych, atoli Barbara oświadczyła mu, że pani baronowa poleciła jej oglądnąć się za panną Gabrjelą i dopomódz jej w zbieraniu do podróży rzeczy, lub w czem innem, jeśliby tego zachodziła potrzeba. Uwolniwszy się tedy pobiegła Barbara schodami na górę. Drzwi wiodące do pokoju Gabrjeli stały otworem, w samym pokoju nie było nikogo, Gabrjela znikła.

VI.

W pałacu.

Jakkolwiek zegar wybił już jedenastą godzinę, panowała przecież w pałacu księcia Wiktora jeszcze po-

ranna cisza. Wszystkie ulice i uliczki, otaczające ten obszerny budynek, niegdyś klasztor, były łańcuchami pozamykane, tak, iż wieśniacy, zdążający, albo już powracający z niedalekiej targowicy, musieli daleko bokami objeżdżać. Toż i kupcy wraz z przekupkami zakładali składy towarów zdaleka, aby ich nawoływania i wrzawa kupujących nie dochodziła pokoi w pałacu. Obchodzące straże i służba pałacowa musiały się także zachowywać całkiem spokojnie aż do południa. Naturalnie, że równie cichutko było i w przedpokoju, jakkolwiek on od sypialni księcia był oddzielony długim szeregiem komnat, to też wszyscy petenci, którym przyobiecano audjencje u księcia w tym dniu przedpołudniem, siedzieli wskutek udzielonej im wskazówki w książęcym przedpokoju tak nieruchomo, jak egipskie posągi. Pomiędzy nimi przechadzał się pokojowiec, który się zachmurzył na widok otwierających się drzwi, zaraz potem atoli się uśmiechnął, gdy się przekonał, że to hrabia Kamiński wszedł do przedpokoju.

— Dzień dobry Werner! przemówił do niego hrabia jakby do dobrego znajomego, czyż książę jeszcze spi?

— Broń Boże, szepnął Werner, jest już na nogach od dwóch godzin, ale ma u siebie gościa. Skoro się tenże oddali, oznajmię księciu przybycie pana hrabiego.

— Dziękuję kochany Werner, odrzekł hrabia, mam dosyć czasu, nie potrzeba się spieszyć.

Pokojowiec przysunął hrabiemu fotel z hałaśliwą usłużnością i wskazawszy ręką na siedzącego w odosobnieniu w kącie petenta, z opuszczonemi na kolana

rękami i oczyma zwróconemi ku ziemi, szepnął hrabiemu Kamińskiemu do ucha:

— Tak siedzi już tutaj od dwóch godzin, biedny człowiek, z pewnością nic nie wskóra, gdyż wiem, że książę nie chce nic dla niego uczynić.

Hrabia Kamiński przeląkł się i załamał ręce.

— Pojmuję pański przestrach, panie hrabio, mówił dalej pokojowiec, bo i cóż to za widok! Czyż on nie wygląda na człowieka, który wysiaduje w przedpokojach, aby otrzymać podrzędną posadę w biurze? starałem się na wszelkie sposoby rozweselić go, lecz napróżno: prawie nie słyszał, co mówiłem, jakkolwiek pragnąłem gorąco podać mu niektóre wskazówki, by mu mogły były przynieść korzyść. Mój Boże, jakże też może człowiek tak prędko się opuścić, czyż on nie wygląda jak biedak i o 20 lat starszym, aniżeli jest w rzeczywistości? Dlatego powiadam zawsze: pieniądz jest niczem, rozległe ziemskie posiadłości z majoratami i fideikomisami są wszystkiem. Mój Boże! a wszakże książę E. ma z pewnością dziesięć razy więcej długów aniżeli biedny Fryzen, mimoto, jakżeż on wesoło żyje, jak dobrze wygląda...

Pokojowiec rozwodził się jeszcze w swych filozoficznych poglądach, jakkolwiek hrabia Kamiński już powstał i do Fryzena się zbliżył. Potrząsnął go z lekka za ramię, baron podniósł oczy do góry.

— Co widzę! hrabia Kamiński, przemówił z radością, a więc i pan jesteś tutaj... odgaduję, jesteś pan dobrym przyjacielem, przybyłeś w moim interesie, radbyś pan księcia prosić, aby mi nie dozwolił upaść. Kochany

przyjacielu! nie trudź się pan napróżno, to się nie uda, wiem o tem i sam nie wierzę, aby mógł mi dopomódz, bo i cóż obchodzi państwo moje nieszczęście?

— A więc cóż pan tu robisz, kochany panie Fryzen?

— Ja? odrzekł baron, wzruszywszy ramionami, wypełniam powinność, chcę uczynić ostatnią próbę.

Po tych słowach powstał z krzesła, obciągnął na dół końce kamizelki, wyprostował członki, jakby był powstał ze snu, i przymuszał się do uśmiechu. Wziąwszy hrabiego Kamińskiego pod ramię, poprowadził go na środek sali, lecz ponieważ i tutaj byli za blisko inni goście, przeto postąpił z nim dalej aż ku drzwiom, prowadzącym ku wewnętrznym pokojom księcia. Zwrócony plecami do oczekujących na audjencję, spoglądał na te drzwi i rzekł do towarzysza cichym i nieco wzruszonym głosem:

— Kochany przyjacielu! pan cenisz i szanujesz moją żonę, poczciwą Matyldę i ona warta tego, bo to szlachetna kobieta! Widzisz pan: ona wszystko straci, popodpisywała wszystko... o, Boże, gdyby tylko nie to! Jednem słowem miałem pana prosić...

Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy się nagle otwarły drzwi, wiodące do komnat książęcych. Baron i hrabia Kamiński podnieśli oczy: przed nimi stała, a raczej się cofnęła Gabrjela, która właśnie miała wyjść do przedpokoju. Fryzen uśmiechnął się w osobliwszy sposób, a wyglądało to tak, jak gdyby miał po ochłonięciu ze zdziwienia wybuchnąć głośnym śmiechem. Jeszcze pierwej atoli odzyskała Gabrjela zimną krew, przystąpiła szybko do niego i rzekła cicho:

— Pójdź pan i nieupokorzaj mnie pan wobec tego tam człowieka w pokoju! Wszystko napróżno, użyłam wszelkich, nawet ostatecznych środków.

— Pójdź pani, pójdź! powtórzył Fryzen i ujął ją pod ramię.

Zdawało się, że nagle zapomniał po co był przybył do księcia, gdyż nie pozdrowiwszy nawet hrabiego Kamińskiego, wyszedł z sali z Gabrjelą szybkim krokiem.

— Teraz książę jest sam, szepnął Werner, zbliżywszy się do hrabiego Kamińskiego, zapowiem mu pańskie przybycie.

Po tych słowach oddalił się pokojowiec i wrócił znowu po dwóch minutach, aby natychmiast hrabiego do księcia poprowadzić.

Książę Wiktor siedział, a raczej spoczywał na sofie, w szlafroku, z turecką czapką na głowie, trzymając w ustach długi cybuch, na którym osadzona była bardzo misterna i kosztowna fajka. Zdawał się być bardzo wesołym i powitał gościa uprzejmem skinieniem ręki. Skoro atoli hrabia chciał przemówić, zawołał szybko: „Powstrzymaj się hrabio!“

Potem zaś dodał z uśmiechem:

— Tutaj można dopiero wtedy przemówić, gdy się puściło kilka dymów z tej fajki i gdy się należycie wypoczęło, taki jest gościnny zwyczaj na wschodzie!

Hrabia usiadł sobie na niskim fotelu naprzeciw księcia i przyjął podaną mu fajkę z rąk usługującego murzyna. Gdy kilka razy z niej pociągnął, przemówił znowu książę.

— Nie prawda, że tytoń wyborny? Pachnie, jak

gdyby się paliło same róże, otrzymałem go w darze od padyszacha, z którym mnie łączą przyjazne stosunki. Ponieważ zaś pańscy ziomkowie Turkom sprzyjają, przeto uważam pana, panie hrabio, za przyjaciela mego przyjaciela na wschodzie i pytam, czem panu mógłbym służyć?

Hrabia Kamiński wyjął z ust cybuch, chcąc odpowiedzieć, atoli książę uprzedził go i rzekł znowu.

— Zaczekaj pan! Dowiodę panu, że odgaduje, czego hrabio ode mnie żądasz, dlatego też nie narażaj się pan na odmowną odpowiedź, bo żądaniu pańskiemu nie mogę zadosyć uczynić, ani pomódz Fryzenowi, gdyż mnie należycie poinformowano o jego położeniu. Jeszcze dzisiaj zostaną wycofane z jego interesu sumy pieniężne, należące do dworu, a o rządowem wsparciu nie może być mowy. Baron stoi bardzo wątpliwie pod względem finansowym, a my także nie posiadamy zbywających pieniędzy, aby je wyrzucać dla przemysłowca, który dba więcej o blask i przepych swego domu, owszem, nie ma czego ukrywać, o nieuczciwe zamydlenie ludziom ócz pozorem swego szlachectwa i stanowiska, aniżeli o zysk i rzetelność w prowadzeniu interesów. Ten Fryzen zapomniał, czem właściwie jest, i chciał odgrywać u nas rolę magnata! Doprawdy! nie mogę mu pomódz, choć nad tem ubolewam, gdyż, jak mówiłem, poinformowano mnie należycie zaledwo przed kwadransem.

— Zaledwo przed kwadransem? zapytał zatrwożony hrabia Kamiński.

— A, wygadałem się, odrzekł, śmiejąc się książę,

tak jest, wszak pan ją musiałeś zapewne jeszcze widzieć w przedpokoju! Tak, tak, objaśniła mnie panna de Chaumont, to istny djabeł nie dziewczyna! Gdy mi czyniła swe odkrycia, zdawało się mi wprawdzie, jak gdyby to czyniła ze zemsty za jakąś urazę, było mi to atoli o tyle przyjemnem, ile że z jej słów poznałem, że niepotrzebnie nagadano plotek o jej stosunku do barona Fryzena. Albowiem pan hrabia zapewne poznajesz, iżby mi ta sprawa nie była miła, no, ale to właściwie nie należy do rzeczy, jeszcze sam nie wiem, jakie mam zająć stanowisko wobec tej pięknej osoby. Czy się zaś mści, lub nie, i dlaczego to czyni, to jest dla mnie rzeczą zupełnie obojętną. Ja poznałem przy tej sposobności całkowitą prawdę i muszę według tego postąpić, nie chciałbym też, abyś pan miał prosić napróżno!

— Książę mylisz się, powiedział hrabia Kamiński, nie przyszedłem tutaj z prośbą w smutnej sprawie barona Fryzena, ale w innym interesie...

— Tak, w innym interesie? zapytał, śmiejąc się książę, a pan mi dozwalasz gawędzić i zdradzać własną tajemnicę! A, to nie ładnie hrabio Kamiński, jak na pana zanadto dyplomatycznie, no ale, i tak nic to nie zaszkodzi! U mnie nie masz tajemnic. Widzi pan, ja mógłbym żyć w pośrodku latarni, aby wszyscy mogli wiedzieć i widzieć, co myślę i czynię. Moją zasadą jest: potęga nie byłaby warta i grosza, gdyby się potrzeba było z czemś ukrywać. A więc cóż to za interes przywiódł pana do mnie?

— Książę może nie wiesz, odrzekł Kamiński, że młody

guwerner barona Fryzena, nazwiskiem Alfred Lindau...

— Ja miałbym nie wiedzieć? rzekł znowu, śmiejąc się książę, siedzi w kozie ten nieborak i pozostanie w niej dłużej.

— Właśnie o usunięcie tego rozporządzenia miałem księcia prosić! powiedział hrabia Kamiński. Jego przyaresztowanie w chwili, kiedy wszyscy mówią o kradzieży djamentów. to istotna niesprawiedliwość! To młodzieniec zacny i nie zasłużył ani na włos, aby podobna zmaza miała krzywdzić jego imię. Znam go i ręczę za jego uczciwość.

— Kochany hrabio Kamiński! odrzekł książę, cenię jak najwyżej pańską rękojmię i napisałbym natychmiast nakaz wypuszczenia go na wolność. Co do kradzieży djamentów wyznaję panu, że ani na chwilkę nie myślałem, aby ten młodzieniec mógł mieć choćby najmniejszą styczność z tą nieczystą sprawą. Wszak pan dobrze znasz moje poczucie sprawiedliwości, będącej podstawą państw. Atoli ten młody człowiek okazał mi raz taką minę, że już za nią zasłużył odsiedzieć kilka miesięcy w kozie. Prawda. że nie ta była przyczyna jego przyaresztowania, atoli jeśli on nie jest złodziejem. natenczas jest przynajmniej człowiekiem niespokojnym, zagorzalcem, on brał udział w owej „demonstracji“ robotników...

— O, nie książę, odrzekł z uśmiechem hrabia Kamiński, on to właśnie uspokoił ich i usunął wszelkie niebezpieczeństwo.

— Choćby! powiedział książę, ja nie chcę być sędzią śledczym w tej sprawie, ani orzekać, czy on wi-

nien, lub nie. Przyaresztowano go poniekąd rozkazem „lettre de cachet“ i może być w ten sam sposób uwolnionym. Na teraz stać się to nie może!

— Gdyby książę tylko słówko wyrzekł... prosił hrabia Kamiński.

— Nie mogę tego uczynić, odrzekł książę, kazałem go zamknąć w kozie dla sprawienia przyjemności pewnej osoby i właśnie dzisiaj przyrzekłem jej, że tego młodzieńca na wszelki wypadek nie wypuszczą jeszcze przez kilka dni na wolność?

— I jakiż interes może mieć w tem dotycząca osoba? zapytał hrabia.

— Ja tego nie wiem, odrzekł książę, ale jej to przyobiecałem i tylko tyle wiem, dlaczego jej przyobiecałem...

Tutaj rozśmiał się wszechwładny mąż i dodał po chwili:

— Powiedziałem panu, że u mnie nie ma tajemnic, a wspomniana osoba to doprawdy, istny djabeł, nie dziewczyna! Urodziła się w swej Francji o cały wiek za późno, gdyżby była przewyższyła taką Pompadour i Du Barry! I, Boże mnie skarz! ona jest piękniejszą od hrabiny Pompadour, a gdybyśmy tylko zechcieli, moglibyśmy być szczęśliwszymi od Ludwika XV.

— A, to rzecz niesłychana! zawołał hrabia Kamiński i zerwał się z fotelu w największem wzburzeniu, jakkolwiek w duchu postanowił zachować zupełny spokój; ileż dobrego doświadczyła ta dziewczyna w domu Fryzenów, ona jeszcze młoda...

— Uspokój się hrabio! powiedział książę, i uszanuj pan, podobnie jak ja, taką siłę intrygi w tak pięknej

i młodej istocie. Uspokój się pan, za trzy dni o tej samej godzinie, co teraz, zostanie panu wydanym pański miły, niespokojny faworyt, jeśli się tylko w tym czasie nie zobowiążę do czegoś innego.

Po tych słowach skłonił się książę, a hrabia Kamiński wyszedł.

W ciągu tej rozmowy u księcia, zdążał Fryzen z Gabrjelą do swego biura. Wyszedłszy z Gabrjelą w milczeniu z przedpokoju księcia, powiódł ją baron do czekającego na nich powozu i gdy ich następnie konie szybko unosiły, rzekł z uśmiechem.

— Czy mogę się dowiedzieć, dlaczego pani tak wcześnie odwiedziłaś księcia?

— Czyż panu wypada o to pytać? powiedziała Gabrjela, wszak znane mi jest dobrze pańskie położenie!

— Słusznie, słusznie, odrzekł baron, śmiejąc się ciągle z goryczą, atoli książę głuchy na prośby pani...

— Jak już panu mówiłam... powiedziała Gabrjela.

— Słusznie, słusznie, rzekł baron, mówiłaś mi już pani, że wszelkie prośby były daremne! Ale kochana panno Gabrjelo, dlaczego się pani tak przelękłaś, gdy mnie zobaczyłaś?

— Albowiem chciałam uczynić ten krok bez pańskiej wiedzy, odrzekła Gabrjela, a tak tajemnica się wydała!

— Słusznie, słusznie! potwierdził tym samym tonem Fryzen, a teraz co?

— A teraz, mój przyjacielu! odpowiedziała Gabrjela, nadeszła pora, abyś się pan zdecydował. Staraj się pan zabezpieczyć, ratuj się, wyjedź do Francji, a ja tam za panem podążę...

— Odpowiem pani za chwilkę, kochana panno Gabrjelo! rzekł baron spokojniej, oparł się o poduszkę w powozie i zadumał się. Nie przemówił już ani słówka, aż powóz stanął przed jego biurem. Gdy oboje wysiedli z powozu, zaprowadził ją baron do biura i prosił aby nieco odpoczęła na sofie. Następnie kazał służącemu przywołać do siebie pana Zelinga i zwróciwszy się do Gabrjeli rzekł:

— Pan Zeling jest w biurze moim sekretarzem, kasjerem i powiernikiem!

W kilka minut później wszedł do pokoju pan Zeling, niski, elegancki mężczyzna, w czarnym ubiorze z białemi bokobrodami i rumianemi policzkami. Na głowie miał białą perukę. Poważnie i smutnie spojrzał on na swego pryncypała i spytał z uszanowaniem, czemby mu mógł służyć.

— Jaki jest stan naszej kasy, panie Zeling? zapytał go baron Fryzen.

Zeling spojrzał z ukosa na Gabrjelę i zawahał się.

— Niech się pan nie żenuje! powiedział Fryzen.

— Wczorajsze obliczenie stanęło na 232 tysiącach.

— A papiery wartościowe?

— Wynoszą około 300 tysięcy.

— A więc było by przeszło pół miliona razem, rzekł Fryzen zwróciwszy się do Gabrjeli, do miliona brakuje jeszcze wiele. To zapewne nie wystarcza?

Gabrjela spoglądnęła na niego badawczo. Nie wiedziała, co się w jego duszy działo, przemawiał do niej nieznanym jej jeszcze dotąd głosem, drżącym jakby

ze wzruszenia, a przecież chwilami ironicznym. Milczała więc, wyczekując.

Fryzen zwrócił się znowu do Zelinga i spytał:

— Jak długo jeszcze zdołamy się utrzymać?

— Po ścisłym obrachunku, odrzekł kasjer, jeszcze tylko pięć dni.

— Dobrze mój kochany Zeling, powiedział baron. Oddaję panu moje wszystkie klucze, a tutaj masz pan jeszcze coś.

Po tych słowach złożył baron na stół swój pugilares, a potem sakiewkę, dodając:

— Zabierz pan i to! Ja powracam do willi. Gdy pan ostatniego dnia będziesz musiał wypowiedzieć swój złowrogi wyrok bankructwa, proszę mnie o tem uwiadomić o godzinę naprzód. Bądź pan zdrów, panie Zeling, już się więcej nie zobaczymy.

— Panie baronie, panie baronie! zawołał stary urzędnik i chwycił go za rękę, u pana miałem tyle sposobności... pan wiesz... posiadam...

— Daj pan temu pokój panie Zeling, odrzekł baron Fryzen, nie mówmy już o tej sprawie. Pan masz dzieci...

— I pan je masz, panie baronie, tłómaczył kasjer.

Baron skinął na niego szybko ręką i rzekł: „Bądź pan zdrów!“

Kasjer zwrócił się ku drzwiom chwiejnym krokiem.

— Pójdź pani, przemówił baron do Gabrjeli, pojedziemy teraz do willi. Pozabieraj pani swe rzeczy i opuść nas, zawita w nasz dom niejedno, na co pani nie powinnaś patrzeć.

— To zbyteczna przestroga, odrzekła Gabrjela, ja już opuściłam pański dom.

— Już? rzekł, śmiejąc się baron.

— Pańską żona mnie wypędziła, powiedziała Gabrjela.

— Tak, doprawdy? Miała słuszność, odrzekł Fryzen. Nieszczęście jest dostojnym gościem, przed jego przyjęciem wypada zawsze dom oczyścić.

Gabrjela zerwała się na nogi.

— Ani słówka! zawołał nakazująco baron i wyszedł z pokoju.

VII.

Sielanka.

Po ostrej chłodnej nocy, zwiastującej szybkie zbliżanie się jesieni nastał znowu łagodny poranek. W nocy poopadało już mnóstwo liści, a nawet teraz jeszcze spadały na ziemię pojedyncze listki za najmniejszym powiewem wiatru. Tu i owdzie na ścieżkach, wysypanych piaskiem i na murawie leżały już całe stosy zgrabionych liści, po których się teraz Odo z Pawłem w dziecięcej igraszce przewracali. Przed nimi stał ojciec i przypatrywał się im z uśmiechem, jemu zdawało się wszystko podobać, cokolwiek tylko robili lub mówili, czego tylko zażądali, to im natychmiast przyobiecywał, i był przy tem nadzwyczaj łagodnym. Dziwili się też chłopcy, iż tak długo z nimi razem przebywał i nimi się zatrudniał, bo ojciec czynił to dopiero teraz. To

też radowali się, śpiewali i płatali tysiące figlów. Ich radość powiększała jeszcze obietnica Van der Sluy'a, że ich nauczyciel Lindau wkrótce powróci. Niezwykła poufałość tych dzieci względem ojca doszła wkrótce tak daleko, iż razem z nim usiedli na huśtawkę, którą służący poruszał. Od czasu do czasu wyglądnęła oknem pierwszego piętra baronowa i uśmiechając się w uszczęśliwieniu dawała znaki huśtającym się na dole. Lecz zaraz potem potrząsała głową, skoro się tylko oddaliła od okna. Bez uśmiechu i bez łez przypatrywał się tej rozrywce ojca z dziećmi Eliasz i potrząsał także głową bardzo poważnie i znacząco, gdyż zachowanie się barona wydawało się mu nadzwyczajnem, ba nawet niestósownem, a na wszelki wypadek dziwacznem, zapowiadającem coś niedobrego. Ile razy drzwi skrzypnęły oglądał się Eliasz, czyby nie mógł był pomówić z kimś o tem zachowaniu się barona i następstwach, jakie z niego wysnuwał. Lecz ponieważ nie ujrzał Barbary, więc milczał i zażywał tabakę.

Van der Sluy, który nadszedł do ogrodu z kilkoma młodymi pomocnikami, udawał że nic nie widział. Powybierał tylko z nimi z ogrodu wiele południowych drzew i krzewów i poprzenosił je do cieplarni, tak, iż przez to ogród całkowicie się zmienił, opustoszał. Dla mieszkańców willi był to zawsze ważny dzień w kalendarzu, zapowiadający poniekąd rychłe nadejście zimy i przykrzejszego czasu. Barbara, która wyjrzała otwartem oknem, rozbudziła echa pośród ciszy głośnym niespodziewanym okrzykiem: „Zima się zbliża!“ Obejrzeli się wreszcie baron i dzieci naokoło siebie, zdawało się im,

jak gdyby nagle świat przyoblekł się w smutniejszą szatę. Łabędzie przesuwały się powolniej po wodzie i fontanny nie szemrały już tak wesoło jak dawniej.

— Ach, teraz będziemy musieli już wnet powracać do miasta! zawołał Odo i opuścił ręce, Pawełek zaś spoglądał badawczo na ojca.

Baronowa wyszła z domu i ujęła męża pod ramię, baron spojrzał na nią z uśmiechem, ujął jej rękę i począł się z nią tam i sam przechadzać. Dzieci spoglądały na siebie z pewnem zdziwieniem.

Van der Sluy tymczasem zdążał ku miastu, obok niego kroczył spokojny i łagodny jak baranek, bakałarz, który był dwa dni więźniem ogrodnika i w ich ciągu zwłaszcza w napadach gorączkowych niestworzone prawił rzeczy, wymawiając często wyrazy: „Gabrjela, Francja, djamenty, miłość, książę, pałace, Jaga“ itp. Atoli łagodne uspakajania Marji, albo, gdy to nie pomagało, rozkaz Van der Sluy'a, położyły wreszcie koniec tym majaczeniom i bredniom, po których następywały godziny przygnębienia, w których się bakałarz uskarżał na zmarnowane życie, skrytych nieprzyjaciół, odpowiadając atoli rozsądnie na wszelkie pytania z wyjątkiem tych, które się tyczyły jego stosunku względem Gabrjeli. Mimoto nabrał oddawna Van der Sluy przekonania, kto właściwie mógł się był dopuścić kradzieży djamentów i dlatego poszedł z bakałarzem do miasta.

W drodze rozmawiał z nim, aby go tylko uchronić od zwykłej nieszczęsnej melancholji.

— Teraz atoli powiedz mi, rzekł do niego, jak się właściwie nazywasz?

Bakałarz namyślał się chwilkę, a potem zawołał stanowczym głosem:

— Tego nie powiem nigdy, nigdy!

— Dlaczegoż nie powiesz. Wszak mi się zdaje, że jesteś dzieckiem poczciwych ludzi.

— Właśnie dlatego! odrzekł bakałarz.

— Jak to mam rozumieć? zapytał Van der Sluy.

— Ja nienawidzę przeszłość, odrzekł bakałarz, ubolewam nad moją teraźniejszością i lękam się przyszłości. Kto wie, Bóg wie, jakich się jeszcze dopuszczę zbrodni, mnie się tak myśli przewracają po głowie... nie wiem, gdzie i kto może powiedzieć, co z tego wyniknie! Toż nie mogę wymienić mego uczciwego nazwiska!

Tutaj westchnął biedak głęboko, a Van der Sluy spojrzał na niego z ukosa z politowaniem.

— Znalazłby się na to środek! przemówił potem spokojnie.

— A to jaki? zapytał bakalarz.

— Praca!

— Ach, westchnął znowu bakałarz, praca, praca! To prawdziwy ciężar z ołowiu u nóg, jabym rad mieć skrzydla, skrzydła!

Mówiąc to śmiał się i wywijał rękami, jakby wzlatywał do góry na skrzydłach.

— Zobaczymy! mruknął z cicha Van der Sluy.

— Zobaczymy! powtórzył machinalnie bakałarz.

Gdy obaj przybyli do miasta, odezwał się Van der Sluy nieco rozkazującym głosem.

— Teraz pójdziemy wprost do Jagi!

— Aha! zawołał, śmiejąc się bakałarz, teraz już rozumiem, chcecie dostać w ręce skarb, stary Harpagonie!

— Tak jest, odrzekł Van der Sluy, skrzynkę z klejnotami!

— O, ona będzie na niej leżała jak smok bajeczny, będzie jej broniła i ogniem zionęła, jak smok w Kolchidzie, gdzie było złote runo.

— No, no, zobaczymy bakałarczyku! powiedział Van der Sluy.

— Zobaczymy ojcze Van der Sluy! upierał się bakałarz, zobaczymy.

I jak gdyby go cieszyło zapowiedziane widowisko, przyspieszył kroku, poprowadził Van der Sluy'a w odległą dzielnicę miasta i zatrzymał się wreszcie przed sześciopiętrowym domem, gdzie chwilkę odpoczął. Pobiegł na górę schodami, za nim zdążał z trudnością Van der Sluy. Zastał go on wreszcie w długim chodniku, mającym po jednej stronie pochylone ściany, po drugiej stronie nieskończone mnóstwo drzwi, osadzonych luźno na zawiasach w części bez zamku. W ceglanej posadzce chodnika było wiele dziur i wyboi, w których jeszcze widać było zebraną wodę po ostatnim deszczu, a i ściany były wilgotne i odrapane.

— Nędza, nędza! mruknął Van der Sluy.

— Widzisz, rzekł z uśmiechem bakałarz, że nie użyliśmy djamentów, aby wieść życie sybarytów!

Po tych słowach zbliżył się do jednych drzwi i zapukał. Lecz nikt się z izby nie odezwał. Zapukał więc powtórnie i zawołał przez dziurkę od klucza:

jak nadeptana dżdżownica. Klejnotów nie ukradną, one nie przepadną, ale Gabrjelę mogą mi ukraść, ona może być dla mnie straconą! Ten książę... a potem ten mały hrabia, hrabia... jakże się on nazywa, hrabia Egon, wszak ja wiem, ilu ją kocha, ilu mi ją chcą ukraść. Musimy uciec do Francji. Precz ztąd!

— Bakalarzu! upominał Van der Sluy, nie zaczynaj też znowu...

— Masz słuszność, masz słuszność, odrzekł bakałarz. Pozwól mi tylko zebrać w głowie myśli. Powiedz mi stary botaniku! czy mnie uważasz za człowieka uczciwego?

— Tak jest! odrzekł lakonicznie Van der Sluy.

— A widzisz, powiedział bakałarz, ty jesteś znawcą ludzi i jesteś przekonany, że ja mogę być jeszcze porządnym człowiekiem, jeśli tylko pierwej nie oszaleję. Ty jesteś ogrodnikiem, o którym Göthe mówi w „Fauście“:

Gdy drzewa zielone, ogrodnik wie o tem,
Że kwiecie i owoc okryją je potem...

— A więc proszę ciebie na miłość boską, dozwól mi działać, przyobiecuję ci, że pierwej nie oszaleję, aż się z tą sprawą uporam, aż odszukam Jagę i będę mógł odnieść djamenty baronowej! Tylko nie wyciągaj tej sprawy na widok publiczny, bo przez to spadłaby hańba na Gabrjelę i Jagę. Powiedz mi jeszcze jedno, abym mógł odzyskać zupełny spokój, dlaczego dozwalacie jeszcze siedzieć w areszcie Lindauowi, gdy wiecie, gdzie się znajdują djamenty?

— Nie możemy go uwolnić aż po kilku dniach, przyobiecał to książę Gabrjeli, że go jeszcze kilka dni potrzyma.

— Książę, Gabrjela! krzyknął nieszczęśliwy bakałarz, chwytając się za głowę, zawsze djabeł z djablicą w kompanji. Pewnie ona zamyśla uczynić coś takiego, przyczemby nie chciała mieć Lindaua za świadka. Musi on wiedzieć jaką tajemnicę, lecz wydostanę ja już z niego ten sekret i muszę wiedzieć, co się święci, i co ona zamyśla uczynić. Tylko mi dozwól, dozwól działać mój ogrodniku!

I zanim się Van der Sluy spostrzegł, wybiegł bakałarz z izby i podążył spiesznie schodami na ulicę. Van der Sluy zeszedł za nim na dół i pomyślał sobie, że najstósowniejszą rzeczą będzie zostawić mu zupełną swobodę w działaniu. Wprawdzie odzyskanie skradzionych djamentów było dla niego rzeczą bardzo ważną, gdyż one stanowiły cały majątek, który miał razem posłużyć do zabezpieczenia nowej przyszłości baronowej i jej dzieci, ale był także prawie pewnym, że dostanie w ręce skradzione klejnoty. Ponieważ mu zaś bakałarz przypomniał o Alfredzie, który miał wiedzieć o jakiejś tajemnicy i mógł odwrócić jakieś zagrażające nieszczęście, przeto poszedł prosto ku budynkowi, w którym Lindaua przytrzymywano. Kiedy wszedł w wąską uliczkę, wiodącą ku temu budynkowi, ujrzał jakąś kobiecą postać, która się ukryła w przedsionku. Van der Sluy uśmiechnął się, lecz zawołał nieco szorstkim głosem:

— Ho, ho, znam ja podobno tę kryjącą się osobę, cóż to ma oznaczać ta zabawa w chowankę?

W tej samej chwili rzuciła się mu Marja na szyję.

— Ach ojcze! zawołała wśród łkania, ty idziesz pe-

wnie do niego, weź mnie z sobą! Oni mnie stamtąd sromotnie wypędzili.

— Dobrze ci tak, odrzekł ojciec, do czego te czułostki! Oni go tam nie zjedzą, do czego się przyda to skradanie się po pod drzwi aresztu i ciągłe wzdychanie? To są głupstwa! Ty powinnaś siedzieć w domu u baronowej, bo się możesz jej, kto wie, do czego przydać.

Po tych słowach nie oglądnąwszy się nawet na córkę, zbliżył się Van der Sluy do bramy aresztu i zadzwonił. Wyszedł dozorca i powiedział mu, że od rana pozwolono Lindauowi przebywać w podwórcu tak, iż przystęp do niego nie był wzbroniony.

Afred stał w istocie w podwórcu, zwrócony twarzą ku murowi i przypatrywał się jaszczurce, która się na słońcu wygrzewała, gdy usłyszał za sobą wołanie:

— A więc aż tutaj zawiodły nas szczęśliwie nasze ambitne plany i nasz wielki świat! To tylko maleńka próba dotychczas, lecz los może ma w pogotowiu całe cebry zimnej wody do ochłodzenia głów rozpalonych!

Alfred uśmiechnął się i uściskał na znak zgody rękę, którą mu podał Van der Sluy wśród objawu szczerej życzliwości, nie licującej z jego ironiczną uwagą.

— O, tak, powiedział Afred żartobliwie, spotkał mnie w istocie los świetny!

— A więc pozbyliśmy się wreszcie dawnych ambitnych planów i nadziei? zapytał Van der Sluy Alfreda.

— Podobno tak, zaręczał tenże, byłoby zresztą nawet rzeczą trudną żywić je jeszcze nadal gdy się może

z powodu kradzieży djamentów wysiaduje w areszcie.

— Prawda, powiedział Van der Sluy, co się zaś tyczy djamentów, to wiem gdzie się one znajdują.

— I ja wiem także! zapewniał Alfred.

— A dlaczegoż się tego nie powiedziało? zapytał ogrodnik.

— Ponieważ mi się zawsze wydawało, że bakałarz nie był tak winnym. owszem że z niego człowiek wcale poczciwy, a kradzież kto inny popełnił.

— Tak też jest w rzeczywistości! powiedział Van der Sluy i wyjaśnił mu cały przebieg sprawy. Następnie pytał go, dlaczego sobie bakałarz ze względu na postępowanie Gabrjeli życzył tak bardzo jego jak najrychlejszego uwolnienia, oraz, jakichby się Alfred domyślał planów u tej niebezpiecznej dziewczyny?

Alfred odpowiedział na to szybko:

— Zamyśla ona z baronem i znacznemi pieniądzmi, jakie ma tenże w interesie, umknąć stąd ukradkiem.

— Nie to będzie, powiedział Van der Sluy, potrząsając głową, ponieważ wiem, że baron swemu kasjerowi wszystkie klucze wydał z nakazem, aby o ile możności zaspokoił wierzycieli, a potem nie wygląda on w ostatnich dniach po temu, aby mógł coś podobnego uczynić. Musi to być rzecz inna!

— W takim razie, odpowiedział Alfred, chce Gabrjela tymczasem usidlić hrabiego Egona, a lęka się abym ja jej planu nie udaremnił, gdybym temu poczciwemu człowiekowi objawił to, co wiem o niej.

— Otóż to będzie, powiedział rozstrzygająco Van der Sluy, a pan musisz odzyskać wolność jak najprę-

dzej. Poczynię i ja w tej mierze starania, chociaż wiem, że pan musisz jeszcze kilka dni tutaj posiedzieć. Na wszelki wypadek będzie odtąd codziennie od wieczora do rana oczekiwał pana powóz barona, abyś się pan mógł w swoim czasie jak najprędzej dostać tam, gdzie pańska obecność będzie potrzebną.

Alfred miał się jeszcze wiele pytać o Marją, baronowę i jej dzieci, atoli Van der Sluy odpowiadał lakonicznie i pozostawił go wkrótce w samotności, twierdząc, że mu ona wyjdzie na pożytek.

VIII.

Katastrofy.

Piękną, owocowemi drzewami wysadzoną drogą, która od folwarku hrabiego Egona wiodła w bliskie góry, szła, trzymając się pod ramię młoda para, która nie zważała ani na wspaniałą okolicę, ani na smętną wrzawę przeciągających górą żurawi, ani wreszcie na przepyszny widok wielkiego miasta, które się przed nią roztaczało nadobnem kołem, to owiane lekką mgłą jesienną, to znowu później oblane jaskrawem słonecznem światłem.

Młodzieniec spoglądał tylko na piękność u swego boku, idąca zaś obok niego młoda niewiasta była zamyślona, zapatrzona przed siebie i tylko chwilami oglądała się naokoło siebie, jak gdyby się była obawiała, aby jej jaka nieprzyjemność nie spotkała. Młody mężczyzna do-

dawał jej odwagi, uśmiechając się do niej.

— Spodziewam się, mówił jej, że tą drogą będziesz powracała o wiele weselsza.

— Z pewnością, z pewnością kochany Egonie! odpowiedziała dziewczyna z wymuszonym uśmiechem.

Gdy oboje weszli na mały pagórek, oglądnął się Egon na swą posiadłość.

— Popatrzno, kochana Gabrjelo! przemówił po chwili, jak tam w dole spokojnie, sielankowo i malowniczo leży mój domek! Doprawdy, można w nim być bardzo szczęśliwym.

— Z pewnością, z pewnością! potwierdziła Gabrjela.

— I ty nią będziesz niezawodnie, dodał Egon.

— Z pewnością, z pewnością! powtórzyła Gabrjela.

— Ależ dlaczego stałaś się nagle tak małomowną? zapytał hrabia Egon.

Gabrjela znowu się oglądnęła naokoło siebie, postąpiła naprzód i odpowiedziała:

— Obawiam się, abyś mnie nie naraził na zawstydzenie. Czy jesteś pewny, że nam pastor da ślub niezwłocznie, czy nam nie będzie czynił trudności?

— Bądź spokojną, odrzekł Egon, pastor N. w mojem rodzinnem miasteczku jest serdecznym przyjacielem naszej rodziny i moim nauczycielem z lat dziecięcych. Być może, iż się nieco gniewać będzie na mnie, że się pospieszyłem z żenieniem się, lecz jestem pewny, że nas z sobą, moja droga Gabrjelo, połączy, gdyż wie, że ty jesteś dla mnie wszystkiem, i że bez ciebie już żyćbym nie potrafił.

— A świadkowie? zapytała Gabrjela.

— Sprowadzi on ich już sam w miasteczku! odrzekł Egon...

— A więc naprzód! zawołała Gabrjela.

Mimo to zatrzymała się znowu za chwilkę i przepatrywała niespokojnem okiem okolicę w kierunku miasta. Nagle wyprostowała się i wypatrzyła nieruchomo na jeden punkt.

— I cóż tam widzisz Gabrjelo, zapytał Egon, przestraszony śmiertelną bladością na twarzy dziewczyny.

— Powóz... szepnęła Gabrjela zaledwo dosłyszalnym głosem.

— Gdzie? odezwał się jej towarzysz.

— Tam od miasta, odrzekła Gabrjela, toczy się gościńcem ku twej posiadłości. To powóz Fryzena! Poznaję konie i liberją.

— I cóż cię to tak przestrasza? zapytał Egon.

Gabrjela nie odpowiedziała, patrzyła nieruchomo i z bojaźnią na powóz, który pośród grubego tumanu bardzo szybko ku posiadłości Egona zdążał.

— Tak, przemówił Egon, teraz i ja go poznaję; siedzą w nim dwaj mężczyźni. Zdaje się, że im spieszno, może mi mają donieść jaką ważną nowinę. Może powrócimy ku nim?

— O, nie, nie! zawołała Gabrjela.

— Teraz poznaję Lindaua, rzekł uradowany Egon, jakże mnie cieszy jego uwolnienie. Ale kto moze razem z nim jechać?

— To człowiek szalony, uchodźmy stąd prędzej, odpowiedziała Gabrjela i pospieszyła dalej ścieżką ku górom; Egon zaś nie ruszał się i rzekł:

— A to się dobrze składa, zabierzemy z sobą Lindaua, może nam posłużyć za świadka.

— O, nie, nie czyń tego, zawołała strwożona Gabrjela, proszę cię na miłość boską.

— A to dlaczego? zapytał Egon.

— Wyjaśnię ci to później, odrzekła Gabrjela. Powiedz mi tylko, czy służba twoja wie, dokąd się udaliśmy i jakie było nasze postanowienie?

— Naturalnie, odrzekł Egon, wszak musiałem poczynić przygotowania, aby cię, gdy powrócimy, przyjęto jako panią domu i moję żonę, w sposób uroczysty.

Gabrjela ruszyła ramionami i zawołała powtórnie:

— Dalej naprzód!

W tej chwili wjechał powóz na podwórzec. W powozie siedział rzeczywiście Lindau, obok niego bakałarz, a pomiędzy nimi leżała mała skrzyneczka, którą oni mimo szybkiej jazdy nie spuszczali ani na chwilę z oka.

— Witam pana, panie Lindau! zawołał uprzejmie Wilhelm, służący hrabiego Egona, a więc już pana uwolniono? Pan hrabia myślał, że pan jeszcze ciągle wysiadujesz w celi.

— Właśnie dopiero co z niej powracam, odrzekł Lindau.

— A to pięknie z pańskiej strony, rzekł Wilhelm, że pan najpierw do nas zaglądasz, a więc przecie będziemy mieli gościa na weselu.

— Wesele, a gdzie jest hrabia? zapytał Lindau.

— Właśnie jest w drodze do kaplicy, powiedział Wilhelm, tu z poza domu możesz go pan jeszcze zo-

baczyć wraz z narzeczoną.

Bakałarz wybuchł głośnym śmiechem.

— Cicho! nakazał Lindau i dodał, zwróciwszy się ku służącemu: A kto jest jego narzeczoną?

— No, jużci panna de Chaumont, odrzekł Wilhelm.

— To być nie może! zawołał Lindau.

— Ależ z pewnością, powiedział Wilhelm, niechaj pan tylko spojrzy w tamtę stronę, zdążają właśnie oboje na górę ku kaplicy.

— „Tam na górze jest kaplica!" zaśpiewał tutaj bakałarz dziwnym głosem.

Lindau wyskoczył z powozu, a za nim bakałarz.

— Dziękuję ci bakałarzu, przemówił Lindau, przybyliśmy w samą porę. Musimy natychmiast podążyć za nimi. A pan, panie Wilhelmie, zechciej tymczasem wziąć pod swą opiekę tę tutaj skrzyneczkę.

Po chwilce widać już było obu przybyszów, spieszących przez pole w góry.

— Patrz pan, panie Egonie! zawołała Gabrjela, oto się już tam do nas zbliżają. Posłuchaj: Lindau jest moim nieprzyjacielem, przyjechał, aby... nie zważaj pan na jego słowa. Przysięgnij mi, że, cokolwiekby panu powiedział...

Piękna dziewczyna była nadzwyczajnie niespokojną, tak, iż ciągle to samo powtarzała. Egon spoglądał na nią ze zdziwieniem, gdyż się mu wydawała być zupełnie inną osobą niż dawniej. Przeróżne obrazy i myśli snuły się mu po głowie, wreszcie zapytał:

— A cóż mi może Lindau powiedzieć, co mógłby mi objawić?

— Nieporozumienia, odrzekła, zająkując się Gabrjela, oszczerstwa... baronowa i on... nie, baron... pan wiesz... djamenty...

Egon odskoczył w tył. W Gabrjeli widział teraz owę przestraszoną dziewczynę, którą niespodzianie naszedł, stojącą w djamentach u źwierciadła. Uderzył się teraz tak mocno ręką w czoło, iż sobie strącił kapelusz z głowy, a potem pochylił się w tył, jak gdyby się był chciał Gabrjeli zdaleka lepiej przypatrzyć.

Tymczasem zbliżali się Lindau z bakałarzem, Egon mógł odróżnić ich głosy, gdyż Lindau wołał: „Stój, stój, proszę się zatrzymać!“ a bakałarz śmiał się i podnosząc czasami na znak pogróżki pięść do góry krzyczał:

— Chcę mieć moją oblubienicę, moją ukochaną Gabrjelę!

Gabrjela starała się pociągnąć z sobą hrabiego Egona, lecz on stał nieruchomo na miejscu, spoglądając raz na nią, innym razem na nadchodzących. Ci zbliżali się szybko. Niebawem przystąpił Lindau do Egona i ująwszy go za ramię powiedział:

— Dobrze, że pana tutaj jeszcze zastaję, mam panu udzielić ważnych wiadomości. Równocześnie rzucił się bakałarz z otwartymi rękoma na szyję Gabrjeli.

Gabrjela odwróciła się szybko i poczęła uciekać po przez pola, unosząc się z nadzwyczajną lekkością ponad bruzdy i ściernie, a bakałarz śmiał się ciągle i ścigał ją, czyniąc olbrzymie susy, już to wołając na nią czule, już przeklinając, a ciągle bliski wybuchu szaleństwa. Egon przypatrywał się temu przykremu

widowisku jakby jakiemuś bajecznemu zdarzeniu, toż i wiadomości, jakich mu udzielił Lindau o jego narzeczonej, którą miał poprowadzić do ołtarza, przejmowały go zgrozą. Potrząsał głową, jakby temu wszystkiemu nie wierzył, jak gdyby sobie miał w duchu powiedzieć: „To tylko mara, złowrogi sen, z którego się przebudzę!“ I przebudził się w istocie, oddychając swobodniej, ale dopiero wtedy, kiedy Gabrjela i bakałarz za pagórkiem zniknęli. Patrzał atoli jeszcze ciągle w tym kierunku, i jeszcze kilka razy pojawiali się mu i znikali z ócz, uciekająca Gabrjela i ścigający ją bakałarz, aż wreszcie bez śladu gdzieś znikli.

Egon postępował obok Lindaua, jakby był we śnie i tak weszli obaj do jego mieszkania. Lindau polecił staremu Wilhelmowi uważać na swego pana, odebrał od niego skrzyneczkę z djamentami, wsiadł do powozu i odjechał jak najspieszniej, bo pragnął ujrzeć przyjaciół, ukochane dzieci baronowej i oblubienicę. Wreszcie stanął u celu, z ogrodu słychać było głos Odona, więc pospieszył do niego.

Z jakąż ogromną radością powitano go w ogrodzie. Marja, baronowa i dzieci otoczyły go wśród najserdeczniejszych powitań, przyłączyła się do nich i wierna „Miłka“. Baron pokazał się w oknie, śląc skinieniem ręki uprzejme pozdrowienia.

— On coś także przyniósł z sobą! przyniósł coś z sobą! zawołał Odo, który najpierw ujrzał skrzyneczkę pod ramieniem Lindaua.

— Tak jest przyniosłem coś! odrzekł z uśmiechem Lindau i wręczył skrzyneczkę baronowej.

— Moje djamenty! zawołała z radosnem zdziwieniem baronowa, jakże się teraz ucieszy Feliks.

Dzieci mało obchodził odzyskany skarb, chciały one aby Lindau zaraz usiadł i opowiadał im dzieje swego uwięzienia. Lindau przyobiecał im opowiedzieć wszystko, lecz pierwej musiał udać się na górę, aby ich ojca przywitać.

Baron Fryzen wyszedł naprzeciw niemu do najbliższego pokoju i ująwszy go za rękę wyraził w najserdeczniejszych słowach swą radość wskutek jego uwolnienia.

— Nie chcę, mówił do niego, aby dzieci na pana czekały i proszę, abyś pan do nich natychmiast powrócił. A teraz jeszcze tylko słówko. W czasie pańskiej nieobecności zaszło u nas wiele zmian, prawdopodobnie będę musiał opuścić moją dobrą żonę i lube dzieci. Pan się do nich szczerze przywiązałeś, dlatego proszę, przyobiecaj mi pan, że pan przy nich wytrwasz wiernie i nadal.

Mówiąc to podał rękę Lindauowi, który ją na znak zgody uścisnął, gdyż wzruszyły go łagodność i głos biednego barona. W milczeniu udał się potem Lindau napowrót do dzieci, ponieważ sobie tego Fryzen kilkakrotnie życzył.

Na schodach spotkał on pana Zelinga, kasjera domu Fryzenów. Starzec ten wyłaził z taką trudnością po schodach na górę, jak gdyby to przechodziło jego siły.

— Panie Zeling! zawołał przestraszony Lindau, czy pan jesteś chory? Jakże pan źle wyglądasz, może panu dopomódz?

— Chory nie jestem, odrzekł kasjer, owszem gorzej

aniżeli chory! Ach, kochany panie Lindau, to najcięższa droga, jaką mi przyszło odbyć w życiu! Już od kilku godzin kręcę się naokoło domu i nie mam odwagi wejść do pokoju, ale to być musi, on sam tak nakazał!

— Kto, baron? zapytał Lindau... Cóż on panu nakazał?

— Ano, oznajmić mu, odrzekł kasjer, gdy katastrofa nastąpi, ach dzisiaj rano o godzinie jedenastej musiałem ogłosić przykry wyrok: „Tego wekslu nie możemy wypłacić".

— A więc ruina gotowa, skończyło się! zawołał Alfred z boleścią, a w jego oczach stanęły łzy szczere.

— Tak jest, odrzekł kasjer, i całe miasto już się zaniepokoiło tą nowiną. Szkoda doprawdy, taki zacny dom upadł!

Lindau nie myślał już o pomaganiu starcowi wychodzącemu z trudnością po schodach na górę, bo jego umysł zaprzątały teraz jedynie dzieci i baronowa, które z pewnem zdziwieniem spoglądały na jego zmienioną twarz, kiedy do nich powrócił. Lindau tłómaczył się znużeniem i starał się o ile możności swobodnie opowiadać dzieciom to, czego się dowiedzieć pragnęły. Synkowie baronowej usadowiły go na ławce, stanęli obok niego jeden po prawej, drugi po lewej ręce, a baronowa i Marja usiadły na krzesłach naprzeciw niego. Lindau musiał im opowiadać jak najdrobniejsze szczegóły, tyczące się jego uwięzienia. Piękny był zaiste widok tych wiernych przyjaciół, siedzących razem przy sobie i zajętych żywo własną dolą i niedolą, nie zwracających nawet uwagi na djamenty w skrzyneczce, która stała jakby porzucona na boku.

— I tato chciałby pewnie co usłyszeć, zauważył Pawełek, patrzcie, z jaką ciekawością spogląda na nas z góry!

Oczy wszystkich zwróciły się ku oknu, w którem stał bron Fryzen z uśmiechem na twarzy. Potem wśród ciągłych pozdrowień obiema rękami oddalił się powoli w głąb mieszkania.

— Mój Boże, mój Boże, szepnęła cicho baronowa, jakże nieskończenie słodkie było to jego spojrzenie...

Po tych słowach poczęła łkać gwałtownie.

Po chwili przemówiła do Lindaua:

— Niechaj moje wzruszenie nie przeszkadza panu, proszę dalej opowiadać.

Lindau chciał zadosyć uczynić jej wezwaniu, lecz w tej samej chwili rozległ się pośród willi huk wystrzału i gęsty dym buchnął z pokoju barona Fryzena.

Baron Fryzen zastrzelił się.

IX

Zakończenie.

Śmierć barona Fryzena i upadek jego zamożnego i starożytnego domu mniej narobiły rozgłosu, aniżeli się tego ludzie spodziewali. Pochodziło to ztąd, iż pieniędzmi, otrzymanemi za sprzedane realności i resztę gotówki zdołano po największej części zaspokoić wierzycieli, a potem i stąd, iż nastały wkrótce ciężkie chwile dla kraju, w których jeszcze wiele pierwszorzędnych domów poupadało! Pieczołowitości Van der

Sluy'a, pieniądzom, które on wraz z hrabią Kamińskim potajemnie dla rodziny Fryzenów gromadził, można było zawdzięczać, iż ocalono dla baronowej willę z przynależnemi posiadłościami i zyskownym ogrodem Van der Sluy'a. Toż i sprzedaż djamentów przysporzyła znacznie majątku baronowej, tak, iż przy jej przestawaniu na małem, na zewnątrz prawie żadna nie zaszła dla niej zmiana. Wśród wiejskiej ciszy, w otoczeniu wiernych przyjaciół i kochających dzieci zabliźniły się powoli rany, jakie jej czas ostatni zadał, chociaż były bardzo głębokie. Pocieszało ją także niemało i szczęście, jakiem się wkrótce Marja i Lindau jako nowożeńcy cieszyli. Lindau i nadal pozostał nauczycielem i wychowawcą jej dzieci, które pod jego opieką fizycznie i duchowo wzorowo się rozwijały, sam zaś pobierał naukę ogrodnictwa i handlu kwiatami od Van der Sluy'a, który go we wszelkie szczegóły swego zatrudnienia z przyjemnością wtajemniczał. Hrabia Kamiński, który resztą swego majątku pokrył ostatnie potrzeby domu Fryzenów, o czem baronowa wcale nie wiedziała, zamieszkał w pustelni, i tak przeszły burze czasu ponad tą cichą, węzłami przyjaźni i miłości połączoną osadą, bez zgotowania komukolwiek z tych dobrych ludzi istotnego nieszczęścia i zguby. Gdy wreszcie baronowa poznała, że hrabia Kamiński nietylko w ostatnich czasach okazywał jej tyle przywiązania, ale ją już przedtem, oddawna kochał, nie wahała się mu oddać swą rękę. Przestawając na małem, byli ci ludzie tak szczęśliwymi, iż w ich sposobie życia nie uczynił najmniejszej odmiany bardzo znaczny majątek, który hrabia

Kamiński później odzyskał, gdy nastały spokojniejsze czasy. Owszem hrabia Kamiński i baronowa Fryzenówa, którą pojął za żonę, poczęli się lękać wszelkiego blasku i wielkiego majątku, to też ich dzieci Odo i Paweł wzrastali jako ludzie, których szczęście miało się zasadzać wyłącznie na wykształceniu i pracy. Jeden z nich jest dzisiaj młodym uczonym, któremu ludzie świetną przyszłość rokują, drugi naczelnym inżynierem przy pewnej alpejskiej żelaznej koleji, której budowa wymaga prawdziwie uzdolnionych mężów i hartowanej woli w pokonywaniu nastręczających się trudności. Lindau z Marją Van der Sluy'ówną zatrudniają się po ojcu objętem ogrodnictwem, dorobili się znacznego mienia, lecz żyją skromnie, lękając się zbytku, któryby im mógł zamącić domowe szczęście. Nad drzwiami ich cichej strzechy widać jakby ostrzeżenie wymalowany djadem, a pod nim napis treściwy, lecz wymowny:

„Djamenty baronowej!“

Koniec tomu drugiego i ostatniego.



Termin zwrotu lub zgłoszenie prolongaty.

